

KIRYL BUŁYCZOW

CUDZA PAMIĘĆ

**TYTUŁ ORYGINAŁU CZUŻAJA PAMIAT'
PRZEŁOŻYLI: TADEUSZ GOSK I ANITA TYSZKOWSKA**

1

Sergiusz Andriejewicz Rzewski pracował tu już tak długo, że przestał zauważać budynek Instytutu i otaczające go domy, ale tego poniedziałku nie przyjechał po niego służbowy samochód. Rzewski pojechał do pracy autobusem i dlatego spostrzegł, że zaczęto rozbierać barakowe osiedle, rozciągające się od pętli autobusowej aż po zabudowania Instytutu.

Osiedle liczyło niemal pół wieku. Zostało zbudowane w latach trzydziestych, nieco wcześniej niż Instytut. Między piętrowymi, żółtymi barakami wyrosły wysokie topole. Sergiusz Andriejewicz zorientował się, że baraki są rozbierane, ponieważ zamiast pierwszego z nich widniała między drzewami jasna, luka, a za nią, niczym w ramie, z której wyjęto wiszący tam od niepamiętnych czasów obraz, ciągnęło się nie zabudowane jeszcze pustkowie, sięgające na horyzoncie białego łańcucha górskiego nowych punktowców.

Przy następnym baraku stała koparka z żeliwną kulą zamiast czerpaka. Lokatorów już wysiedlono, powymowano okna, a blachę zdartą z dachu ułożono opodal w wielką, nieporządną stertę.

Przy trzecim baraku Rzewski zatrzymał się, choć z początku nie wiedział dlaczego. Pojął to dopiero po dłuższej chwili: po prostu kiedyś przemieszkał w nim pół roku, kiedy zaczynał pracować w Instytucie. Wynajmował tam pokój na piętrze.

Barak był pusty, drzwi wejściowe uchylone, więc można było bez przeszkód wejść do środka, znaleźć się w tamtym pokoju i wyjrzeć przez puste okno na ulicę. Nie— zrobił jednak tego, odegnał nieracjonalną zachciankę i odruchowo zerknął na zegarek. Dziesięć po dziewiątej... Już spóźnił się do pracy.

2

W korytarzu było pusto, wszyscy rozeszli się już do laboratoriów i pracowni. Za pół godziny zaczęły wychodzić na papierosa. W kiszkatym sekretariacie też nie było nikogo. Na biurku sekretarki karteczka:

„Szefie! Jestem na zebraniu Rady Zakładowej. Lena”

Obok stosik eleganckich kopert — zaproszenia. Nowe angielskie czasopismo. Gruby maszynopis autoreferatu.

Sergiusz Andriejewicz poczuł się paskudnie. Zaczął szukać przyczyny złego nastroju, nie chcąc się samemu sobie przyznać, że zawiniły baraki. Co właściwie chciał zrobić? Wezwać Alewicza? Nie, najpierw trzeba przejrzeć pocztę...

Za uchylonymi drzwiami gabinetu rozległ się jakiś szmer, a potem znajome ciche skrzypnięcie. Ktoś otwierał środkową szufladę jego biurka. Tego tylko brakowało!

Rzewski zrobił krok ku drzwiom i nagle się przestraszył.

Strach był irracjonalny. Dyrektor Instytutu zląkł się wejść do własnego gabinetu! Stał więc, słuchał i czekał, aż z gabinetu wyjdzie Lena i powie: „Trochę posprzątałam panu biurko”. Ale w gabinecie było ciemno, a Lena przede wszystkim odsunęłaby zasłony.

— Kto tu jest? — zapytał Rzewski ochryplym z emocji głosem.

Nikt nie odpowiedział. Nieznany intruz przyczał się w półmroku i nie chciał odpowiadać.

Trzeba wejść i zapalić światło, ale wyłącznik w gabinecie umieszczony jest bardzo niewygodnie, co najmniej dwa metry od drzwi. Po co powiesili takie grube zasłony? Przecież nikt tu nie zamierza wyświetlać filmów!

W gabinecie było dość światła, żeby dało się rozróżnić biurko, długi stół konferencyjny i regały pod ścianami... Sergiusz Andriejewicz wślizgnął się do gabinetu i przyciskając się plecami do ściany ruszył w stronę wyłącznika. Już go miał w zasięgu ręki, gdy dojrzał ciemną postać za biurkiem i stwierdził, że ta postać nie ma twarzy. To znaczy nie ma jasnej twarzy — twarz była równie ciemna jak tułów i ręce... Ciemna głowa poruszyła się i światło padające od drzwi zapaliło w jej oczach czerwone ogniki.

Rzewski wiedział, czuł przez skórę, że powinien rzucić się ku drzwiom, zatrzaskać je za sobą i zawołać na pomoc, ale nadal sunął w kierunku wyłącznika...

I nagle ciemne cielsko zerwało się z miejsca i ruszyło w jego stronę. Sergiusz Andriejewicz nie zorientował się w panice, że cielsko pędzi ku drzwiom i sam skoczył w tym samym kierunku. Znalazł się w drzwiach akurat w tym momencie, kiedy dopadła ich ciemna istota. I odleciał w bok, uderzył w biurko, upadł... Na parę chwil stracił przytomność. Ocucił go ból w nodze i plecach.

Zrozumiał, że siedzi oparty plecami o biurko sekretarki i nie może się podnieść.

3

Mdlejącą i spazmującą na przemian Lenę cucono w korytarzu.

Alewicz wbiegł do sekretariatu, pomógł dyrektorowi wstać i chciał dzwonić po pogotowie, ale Rzewski kazał mu tylko odprowadzić się do gabinetu.

Alewicz odsunął zasłany, postawił przewrócony fotel i bez ustanku powtarzał jak katarynka:

— Coś takiego! Coś takiego...

Sergiusz Andriejewicz usiadł w fotelu, zajrzał do uchylonej szuflady biurka, wyjął stamtąd pognieciony czerwony papierek, wygładził go na blacie i nagle się uśmiechnął. Głupio i niepewnie.

— Że też się nie zorientowałem! — powiedział.

— To wszystko przez lekkomyślność personelu! — oburzał się Alewicz, zbierając z podłogi porozrzucone papiery. — Klatka była otwarta, chociaż Gurina przysięga, że ją wczoraj zamknęła... Może zamek się zepsuł?

— A dziś rano nie była w wiwarium? — Rzewski starannie składał w kostkę czerwony papierek.

— Dziś rano?... Zaraz ją wezwiemy.

— Nie trzeba — powstrzymał Rzewski swojego zastępcę. — Sam tam pójde.

— Może jednak zawołać lekarza?

— Nic się nie stało — odparł Sergiusz Andriejewicz. — Trochę się potłukłem i nic więcej. To zresztą moja wina. Stchórzyłem.

— To się może zdarzyć nawet dyrektorowi — powiedział Alewicz sentencjonalnie.

4

Oba szympansy mieszkały na parterze, w wielkim pokoju przedzielonym na pół solidną kratą, oddzielnie od psów, które gnieździły się w suterenie i urządzały tam czasami rozgłośne koncerty, skarżąc się na swój doświadczalny los.

Zapłakana Gurina przepuściła dyrektora do wnętrza.

— Zamykałam — zapewniła go pociągając nosem. — Dwa razy przed wyjściem sprawdzałam zamek...

Szympansy były bardzo do siebie podobne, tyle że pysk Maksa, starego samca, utracił już wesołą małą ruchliwość. Teraz spokojnie drapał się po brzuchu. Przywitał Rzewskiego pełnym godności skinieniem głowy i nawet nie wyciągnął łapy, bo wiedział, że od tego człowieka nic wyzebrać się nie da. Jak będzie chciał, to sam da... Lew natomiast śmiesznie zmarszczył swą niezwykle podobną do ojca twarz i wyciągnął zwinięte w trąbkę wargi. Był najwyraźniej z siebie zadowolony.

— O mało nie zabiłeś dyrektora, jak tak można! — ofuknął go Alewicz.

— Czyja to klatka? — zapytał Rzewski.

— Nie rozumiem?... — powiedziała Gurina.

— Lew siedzi w swojej klatce?

— Naturalnie!

— Myli się pani — poprawił ją Alewicz. — Wprowadziliśmy go tu dopiero w zeszłym tygodniu. Zamieniliśmy klatki.

— No to wszystko rozumiem — powiedział Sergiusz Andriejewicz.

— Co, panie dyrektorze? — Gurina wciąż nie mogła przyjść do siebie. Bardzo się przestraszyła, kiedy jej powiedziano, że Lew uciekł z klatki i o mało nie zabił dyrektora.

Rzewski wsunął rękę za kratę. Lew wyciągnął palec wskazujący i dotknął nim jego dłoni.

— Ostrożnie — szepnęła Gurina.

— Nie bój się, Swietłano — uspokoił ją dyrektor. — Znamy się przecież od prawie pięciu lat.

Gurina zmilczała. Lew zjawił się w wiwarium dopiero trzy tygodnie temu i Rzewski wcześniej nie mógł go widzieć. Ale dyrektor pewnie wiedział, co mówi. Chyba że doznał wstrząsu mózgu...

— Lew, pokaż no mi, jak się otwiera ten zamek — rozkazał Rzewski. Maks poruszył się z niezadowolaniem w swojej klatce, zawarczał.

— No, na co czekasz? — nalegał Rzewski. — Przecież znamy ten mały sekrecik.

Lew popatrzył na niego ze zrozumieniem. Potem znajomym maksowym ruchem podrapał się po brzuchu. Robił aluzje do poczęstunku.

— Swoją nagrodę już zjadłeś i to bez pozwolenia! — powiedział Rzewski.

Wyjął z kieszeni czerwony papierek i pokazał go młodszemu szympansowi, co przyprawiło Maksa o atak wściekłości. Rzucił się na kratę, zaczął nią potrząsać i gdyby mógł dobrać się do syna, z pewnością złożyłby mu skórę.

Lew wyciągnął leniwie łapę i lekko uniósł zamek do góry. Rygiel odskoczył z cichym szcęknięciem.

— Właśnie na tym polega nasz sekrecik — powiedział Rzewski.

— Nawet ja o tym nie wiedziałam, słowo honoru, że nie wiedziałam! — wykrzyknęła Gurina.

— O tym wiedziałem tylko ja i Maks, ale Maks jest poważnym facetem i nie nadużywał nigdy tej swojej wiedzy.

Poważny facet nadal złościł się na syna, przewracając oczami i szczerząc straszliwe, żółte kły.

— Zamek zmienimy — zapewnił Rzewskiego Alewicz. — Zaraz zawołam ślusarza. Ale co za bystry smarkacz... Mało, że się wydostał z klatki, to jeszcze potrafił znaleźć drogę do pańskiego gabinetu!

— Dziękuję, Lew — powiedział Rzewski. — Dziękuję, zuch z ciebie. Lew i Maks zaczęli sobie wymyślać. Warczeli, stroili do siebie miny i szczerzyli kły prawie jednakowo.

5

W gabinecie Rzewski podszedł do okna. Za oknem widać było szerokie pasmo drzew w regularnych odstępach poprzedzielane zielonymi dachami baraków. Na samym skraju, tuż przy szosie, zamiast ostatniego dachu była wyrwa. Wkrótce nadejdzie kolej pozostałych baraków.

Jego baraku też... Wtedy krucho było z pieniędzmi, a właściwie pieniędzy w ogóle nie było. Sąsiadka Elzy przeprowadzała się na prowincję i wyprzedawała meble. Odstąpiła im kanapę za sto starych rubli, co było bardzo tanio. Dźwigali tę kanapę przez pół miasta, Wiktor coraz częściej się zatrzymywał, żeby odpocząć, siadał na kanapie postawionej wprost na chodniku nie zważając na żarty przechodniów. Liza to krępowało, więc ponaglała go, kazała wstawać, iść, dźwigać... Tego wszystkiego Wiktor nie znosił. Zawsze szybko się męczył, fizycznie i umysłowo. Kanapa nie miała nóżek, więc na śmietniku koło baraku znaleźli parę cegieł i postawili ją na nich. Liza była szczęśliwa, dla niej kanapa była symbolem przyszłego domu, gospodarstwa, gwarancją miłości Sierioży.

Kroki Elzy nerwowo zastukotały w sekretariacie i zmieniły ton na parkiecie gabinetu. Ucichły. Rzewski nie podniósł głowy.

— Sergiuszu! Co to znaczy?

— Nic nie znaczy.

Popatrzył na nią. Elza wygląda zdumiewająco młodo. W gładko zaczesanych, rozdzielonych przedziałkami czarnych włosach nie ma nawet jednej srebrnej nitki. Twarz Rzewskiego pomarszczyła się już, pokryła wątrobowymi plamami, a ją nadal można wziąć za młodą dziewczynę. Gdyby przy tym nie udawała z takim zapałem dwudziestolatki, mogłaby się jeszcze niejednemu smarkaczowi spodobać.

— Sierioża, powiedz uczciwie, poturbowałeś się? Czy to prawda, że chcieli cię zabić?

Boże święty, pomyślał Rzewski, nadal traktuje mnie jak swoją własność. Nadal jestem dla niej człowiekiem, od którego można wszystkiego wymagać, chociaż kiedyś na szczęście byłem dla niej zupełnie obcy. Niestety, niedługo...

— Dziękuję za troskę, Elza — powiedział. — Wszystko jest w porządku.

— Jak może być wszystko w porządku, kiedy po Instytucie biegają dzikie zwierzęta? Najwyraźniej coś przede mną ukrywasz!

— Nic się nie stało. Wszystko jest w porządku — powtórzył Rzewski. Podszedł do biurka i pochylił się nad szufladą. Żadnych śladów pazurów, żadnych zadrapań. Szympanś wiedział, jak się otwiera szufladę. — A propos, nie pamiętasz przypadkiem, w którym baraku mieszkałem wtedy z Liza? W trzecim czy w czwartym?

— Słucha?

— No wtedy, dwadzieścia pięć lat temu. Zapomniałaś, że wynajmowaliśmy tam pokój? Teraz zaczęli burzyć te baraki. Nie zauważyłaś?

— Nie pamiętam — odpowiedziała szybko Elza. — To było tak dawno... Może wezwać lekarza?

— A zawsze się chępiłaś swoją fotograficzną pamięcią. Gdybym ja miał twoją pamięć, to już dawno zostałbym członkiem Akademii Nauk.

— I tak nim zostaniesz — powiedziała Elza z przekonaniem. — Jeśli tylko następnym razem nie zeżre cię jakiś tygrys. Mógłbyś mi jednak opowiedzieć, jak to się stało!

Rzewskiemu jakoś nie chciało się opowiadać Elzie o porannym zamieszaniu. Chociażby dlatego, że kierowniczka zakładowej biblioteki nie musiała wiedzieć wszystkiego.

— Co tam u ciebie w domu? — zapytał. — Jak Wiktor?

Elza machnęła ręką.

— A mama? Ninka?

— Akurat w jej sprawie chciałam wczoraj do ciebie wpaść — powiedziała Elza. — Wiesz przecież, że Ninoczka wybiera się na uczelnię...

— Wiem — odparł Rzewski. Latem Ninka zdawała na biologię i nie dostała się, chociaż Elza uruchamiała wszystkie swoje znajomości, a on sam został przez nią zmuszony do wykonania kilku telefonów „na samą górę”. Teraz dziewczyna odrabiała staż pracy pracując u matki w bibliotece.

— Chciałam cię poprosić, żebyś przeniósł ją do jakiegoś laboratorium, bo stamtąd łatwiej startować na studia niż z biblioteki. Obiecałeś mi to załatwić, kiedy zwolni się jakieś miejsce, a personalny mówił, że akurat potrzeba paru laborantów.

— Dobrze — powiedział Rzewski i przysunął sobie teczkę korespondencji. Miał nadzieję, że Elza uzna to za sygnał do odejścia.

Ale Elza podeszła do okna.

— Rzeczywiście burzą baraki? — zapytała. — Nie zauważyłam. Jak ten czas leci! Zupełnie posiwiiałeś.

Rzewski uniósł głowę znad papierów i popatrzył na nią roztargnionym wzrokiem.

6

Elza nie lubiła i nie umiała gotować i dlatego w domu jadło się byle co i byle jak. Również dlatego, że nie znosiła tracić czasu na zakupy, przyrządzanie posiłków i pozostałe domowe obowiązki: zanoszenie bielizny do pralni, płacenie komornego, utrzymywanie porządku, na wszystko to, z czym Wiktor nie życzył sobie mieć nic wspólnego i co w rezultacie musiała robić sama, jak w beznadziejnym kieracie. Dziś trzeba przyszyć guziki, jutro zrobić pranie, posprzątać, kupić coś do jedzenia i tak w kółko. W dodatku matka czuła się nie najlepiej, żądała codziennie świeżej zupy... Elza już kilka razy chciała wynająć gosposię, ale po pierwsze skąd ją wziąć, a po wtóre czym zapłacić. Gosposia była potrzebna również i po to, żeby ktoś wreszcie umył okna i wypędził z mieszkania zapach stęchlizny, rozmaitych lekarstw, nieświeżej bielizny i zastarzałego kurzu. Dziwne uczucie: jest dom i jakby go nie było. Wiktorowi jest wszystko jedno, bo rzadko tu bywa. Matce też jest wszystko jedno, bo niczego innego w życiu nie widziała. Martwi się tylko Elza, bo to ona jedna ma ten obcy dom na głowie.

Elza weszła do kuchni, rzuciła siatkę z zakupami na stół obok brudnych naczyń, które zostały po śniadaniu. Wiktor obiecał zmyć, ale jak zwykle mu się nie chciało. Oczywiście nie ma go w domu, przyjdzie później pod dobrą datą, a jutro jest sobota i trzeba zrobić jakiś obiad. W dodatku jeszcze ten Sergiusz ze swoimi małpami!

Zapaliła gaz, nalała wody do garnka i wsypała makaron.

— Kiciu — rozległ się głos za jej plecami — zgłodniałem tu bez ciebie.

— Ty tutaj? — Elza nie obejrzała się nawet. — Myślałam, że jesteś na meczu.

— Chleb jest w lodówce. Kupiłem dwa bochenki. Jeden zjadłem, kiciu.

W ciągu ostatnich paru lat Wiktor zrobił się gruby i galaretowaty. Elzie wydawało się, że krzesła zaczynają skrzypieć już na chwilę przedtem, zanim na nich siadał.

— Czemu tak późno, kiciu? — zapytał.

Jego „Kicia” o niczym nie świadczyła. Trzeźwy Wiktor czulił się zawsze i do wszystkich. Chodził w masce życzliwości, za którą nie było prawdziwej twarzy.

— Dlaczego trzymasz chleb w lodówce? — Elza zadawała to pytanie za każdym razem, choć z góry wiedziała, że odpowie jej: „Pieczywo tam nie czerstwieje”. Dziś też się nie zawiodła.

— Na Sergiusza napadła małpa — powiedziała.

— Niemożliwe! — Wiktor znalazł w lodówce kawałek kielbasy i szybko włożył ją do ust, bo Elza mogła odebrać. — Nie zapomniałaś posolić makaronu?

— Małpa znalazła jego gabinet.

— No to co?

— Musiała więc znać drogę.

— Twój Sergiusz ciągle się tam cacka ze swoimi zwierzakami, przecież sama mi to mówiłaś.

— Zapomniałaś, że ta małpa urodziła się dwa tygodnie temu?

— Z znów te jego doświadczenia... Okropnie dzisiaj zgłodniałem. W naszym bufecie nie ma nic konkretnego do jedzenia... Słuchaj, kiciu, czy nie mogłabyś dawać mi pięćdziesiąt kopiejek więcej? Rubel mi zupełnie nie wystarcza.

Elza puściła jego prośbę mimo uszu. Wiktor potrafi przejeść nawet dwadzieścia rubli dziennie, potrafi przejeść każde pieniądze, jakie mu się da. Myślała o małpie. Teraz Sergiusz ma już pewność, więc weźmie się za ludzi. To jest okropne i w dodatku obrzydliwe.

— Teraz weźmie się za ludzi — powiedziała.

— Nie rozumiem? — Wiktor kroił sobie grube pajdy chleba.

Elza nie odpowiedziała. Jeśli Wiktor nie zrozumiał czegoś od razu, to nie warto tracić czasu na dalsze tłumaczenie. Małpa sklonowana z pojedynczej komórki ojca, wyhodowana w ciągu dwóch tygodni w wannie z roztworami odżywczymi, stała się kopią swojego rodziciela. Sergiusz zwyciężył. Dopiął tego, do czego dążył przez dwadzieścia lat, mordując legiony myszek, które umiały znajdować wyjście z labiryntu, chociaż nikt ich tego nie uczył. Zrobił kopię małpy, która korzystając nie ze swojej, lecz dziedzicznej pamięci przeszła nie zauważona przez cały gmach.

— Teraz nic go już nie powstrzyma. — Elza przypomniała sobie o makaronie i sięgnęła po solniczkę.

— A ty chcesz go powstrzymać?

— Sergiusz zmienił się na gorsze i dla zaspokojenia własnej próżności gotów jest na wszystko...

— Przesadzasz, kiciu — westchnął Wiktor. — Nie mamy czegoś do wypicia?

— Skończyło się. Ludzkość jeszcze nie dojrzała do takiego kroku.

— Nie dojrzała, powiadasz? No to trzeba napisać, gdzie należy. Poinformować, że Sieriożka rozrabia.

— Nic z tego — odparła Elza. — Już pisali. Bez skutku. Owinął sobie wszystkich wokół palca. Nie pamiętasz, jaki on potrafi być?

— Gdybyście napisali jeszcze w parę miejsc, wtedy na wszelki wypadek przysłałiby komisję — powiedział z przekonaniem w głosie Wiktor.

Trzasnęły drzwi i do mieszkania wbiegła Ninka. Skończyła osiemnaście lat, a jeszcze nie nauczyła się chodzić jak człowiek.

— Jestem najedzona — powiedziała od progu kuchni, nie witając się z rodzicami.

Nina nie lubiła jeść w domu i w ogóle starała się nie jeść, gdyż bała się, że w przeciwnym razie okropnie się roztyje.

— Nino — powiedziała Elza. — Załatwiłam z Rzewskim twoje przeniesienie do laboratorium.
— Nie chcę! — krzyknęła Ninka. — Ja się boję szczurów.
— Nie do szczurów. A w ogóle ta sprawa jest już zdecydowana. Zapomniałeś, że latem zdajesz na studia? Jak długo zamierzasz siedzieć nam na karku?
— Ja się tam na świat nie prosiłam.
— Jak śmiesz... — zaczęła Elza podniesionym głosem, by za moment przejść na krzyk. Lubiła sobie pokrzyzczyć, rzucać talerzami, tupać i potem rozczulać się nad sobą.
Ale tym razem z krzyku nic nie wyszło.
Do kuchni wjechała Pawła Władysławna. Widać poczuła jedzenie. Była podobna do Elzy, miała tak samo uczesane włosy, takie same rysy twarzy, ale samą twarz pomarszczoną jak pieczone jabłko i zapadnięte usta. Elza tak pewnie będzie wyglądała za dwadzieścia lat. Pawła Władysławna miała szczupły, niemal filigranowy tors, ale poniżej pasa ciało jej rozplynęło się i szczerwie wypełniało inwalidzki fotel na kółkach.
— Przestań wrzeszczeć — powiedziała Pawła Władysławna z obrzydzeniem. — Już jej nie wychowasz.
— Wychodzę — oświadczyła Nina.
— Dokąd?
— Założmy, że do kina. — I natychmiast na wszelki wypadek wybiegła.
— Rozmawialiście o Sierioży Rzewskim — powiedziała Pawła Władysławna. — Co on tym razem zrobił?
— Zamierza eksperymentować na ludziach — odpowiedział Wiktor. — A Elza zastanawia się, czy napisać do kogoś o tym zbrodniczym projekcie, czy jeszcze trochę zaczekać.
— Co to za doświadczenia? — zapytała Pawła Władysławna. Koniuszek nosa poczerwieniał jej z emocji.
— Postanowił obejść się bez kobiet, bo kobiety są zbyt zapracowane.
— To ma być żart?
— Niestety nie. Tragiczna prawda — odparła Elza.

7

Rzewski wrócił z narady zły. Nie spodziewał się wprawdzie, że Opanasienko bez słowa podpisze nową siatkę etatów, ale miał nadzieję, że obejdzie się bez czezej gadaniny. Nie obeszło się.

W sekretariacie czekała na niego Nina Gulińska, córka Elzy, malutka, zgrabniutka, ale zagłodzona. Dziewczyna nie potrafiła chodzić, tylko biegała. Wpadała do pokoju i rzucała się na robotę jak wampir, jakby chciała udowodnić, że nie wszyscy Gulińscy są obibokami. Rzewski kiedyś obserwował ją przez dwa dni: poprosił o przysłanie kogoś z biblioteki, żeby uporządkować podręczną kartotekę w jego gabinecie. Przysłali mu Ninę. Obserwował ją i dziwił się, że to już właściwie dorosła kobieta.

Rzewski zaprosił gestem Ninę do gabinetu i poprosił Lenę o wezwanie kierowników laboratoriów.

Ninka przebiegła sześć kroków dzielących ją od drzwi i znieruchomiła jak koń przed przeszkodą. Podała Rzewskiemu prośbę o przeniesienie. Podpisał je.

— Boję się szczurów — powiedziała Ninoczka.

— Szczury ci nie grożą — uspokoił ją Rzewski — chociaż w bibliotece praca istotnie jest spokojniejsza.

— Ja i tak wybieram się na biologię — powiedziała Ninka. — A o szczurach wspomniałam na wszelki wypadek.

— Jak się czuje babcia? — zapytał Rzewski.

— Dziękuję, jeździ sobie wózkiem i obserwuje. Ale mnie nie dopędzi.

— To dlatego tak biegasz?

— Nie, ja biegam w ogóle. Kiedy mam się przenieść?

— Będiesz mi potrzebna od poniedziałku, ale uprzedzam, że czeka cię dużo pracy.

— Tego to ja się nie boję.

Nie ruszyła się z miejsca. Rzewski czuł, że go obserwuje. Pomyślał, że ta dziewczyna rosła w krzykliwej, niezbyt mu przychylniej rodzinie, słuchała toczonych tam rozmów i że teraz zastanawia się, jak dalece urobiony przez matkę i babkę wizerunek zgadza się z rzeczywistym człowiekiem.

Pauza zaczęła się przedłużać i należało coś powiedzieć, ale w drzwiach ukazała się głowa Alewicza, za którym stał Dworiankow.

— Mamy zaczekać? — zapytał Alewicz.

— Proszę wejść — odparł Rzewski. — Zaraz zaczynamy. Ninka odwróciła się na pięcie i wybiegła bez pożegnania.

Pewnie uznała mnie za bardzo złego człowieka, pomyślał dyrektor, ten jej Rzewski musi być aż tak zły, że lepiej się z nim nawet nie żegnać.

8

Od poniedziałku Ninka zaczęła pracować w laboratorium, ale w zupełnie innej roli niż to sobie wyobrażała. Jej praca polegała na jeżdżeniu. Codziennie jeździła gdzieś z papierkami albo bez papierków. Z Alewiczem lub bez niego, służbowym samochodem albo autobusem. Załatwiała, odbierała i ściągала do Instytutu takie różności, jakby Rzewski robił zapasy na długie oblężenie.

Dyrektorskie laboratorium zajmowało połowę parteru i wychodziło na niewielki park, gdzie harcowały dwie oswojone wiewiórki. W wewnętrznych pomieszczeniach laboratorium za grubymi stalowymi drzwiami z iluminatorem Ninka była tylko raz, gdy w ramach prac społecznych myła i tak już oszłamiająco czyste ściany. Nie było tam nic ciekawego. Pierwszy pokój zapchany był aparaturą, w drugim, nieco mniejszym stały wanny z roztworami fizjologicznymi. W jednej wyhodowano jak w inkubatorze szympansa Lwa, a druga jeszcze nie do końca została zmontowana, kiedy do trzeciego pokoju — lazaretu — przeszedł Rzewski we własnej osobie.

Zajmowało się nim dwóch lekarzy. Jeden miejscowy, Wołków, mały, uśmiechnięty, wiecznie podtykający swoje czekoladki rudzielec i jakiś nieznajomy z Instytutu Zankelmana.

Od tej chwili wszystko w Instytucie było jak naelektryzowane. Nawet technicy i ślusarze, którzy dawniej siadywali w parku za krzakami, godzinami palili papierosy, a nawet strzelili sobie czasem kielicha, teraz przestali się obijać. Poczuli zapał do pracy.

Matka dwa razy wpadała na dół, niby po to, żeby odwiedzić Ninę i dodać jej ducha. Za każdym razem zerknęła na metalowe drzwi i coś tam gadała głośnym szeptem. Jej obecność natychmiast separowała Ninę od pozostałych laborantek i czyniła z niej dziecko ustosunkowanej matki, która załatwiała swej latorośli pracę po protekcji.

Wieczorem w domu toczyły się nie kończące się rozmowy o Rzewskim. Ninka wiedziała z góry, co który z domowników powie, i usiłowała ukryć się w pokoju babci, ale tam zawsze było

duszno, bo babcia nie znosiła świeżego powietrza. Na cały regulator grał telewizor, bo babcia bez niego żyć nie może. I nikt nie pomyśli, że Nina musi uczyć się do egzaminów wstępnych, chociaż wszyscy niby tylko o tym mówią.

— Dziś była komisja — przez ryk telewizora przebija się podniesiony głos mamy. — Przewodniczył sam Opanasienko. Jestem prawie przekonana, że przerwą mu doświadczenia. Ale jeśli nie, to Rzewski dostanie nagrodę państwową. To niemal pewne, Alewicz mi mówił.

— Też mi Einstein! — oburza się babcia. — Ile to razy go karmiłam, ile serca mu okazałam, a on... Ludzie są okropnie niewdzięczni!

— No tak — mówi ironicznie ojciec. — Sieriożka powinien siedzieć w tej kuchni! Nieprawdaż, Pawło Władisławno?

— Zostaw tę kiełbasę! — mówi matka z irytacją. — Mama nic podobnego nie miała na myśli.

— Może. Ale jednak byłoby najlepiej, żeby on się z tobą ożenił. Wszyscy byliby zadowoleni.

— To coś nowego! Nina odkłada matematykę i podchodzi do drzwi. Do dziś właściwie nie wie, co stało się przed dwudziestoma pięcioma laty. Wie jedynie, że stało się coś takiego, co po dziś dzień wiąże ze sobą tych ludzi. Wie, że Rzewski zachował się jak ostatnia świnia wobec mamy i całej ich rodziny, chociaż tej rodziny chyba jeszcze wówczas nie było. Pewnie dlatego Rzewski nigdy nie przychodzi do ich domu... Dawniej nic jej nie obchodził, ale potem, kiedy mama wzięła ją do swojej biblioteki, siłą rzeczy zaczęła go obserwować.

Rzewski sprawiał na niej niesympatyczne wrażenie już z tego względu, chociaż był świnia, to udawał człowieka zupełnie przyzwoitego. Kiedy ktoś przy niej zaczynał wychwalać talent dyrektora, Nina odwracała się z niesmakiem, bo wiedziała, że najgenialniejszy nawet drań jest o wiele gorszy od uczciwego głupca. Inna rzecz, iż z upływem czasu coraz trudniej było jej tkwić w tym przekonaniu. Rzewski na jej ukłon odpowiadał nieśmiałym uśmiechem, bo zdawał sobie pewnie sprawę z tego, jak wiele złego Ninka musi o nim wiedzieć. Był przy tym tak okropnie przystojny, że gotowa już była się zakochać w tym tajemniczym, utalentowanym łobuzie. Powstrzymywało ją jedynie to, że Rzewski był potwornie stary. Po czterdziestce.

9

Rzewski wyprowadził komisję z laboratorium, zaprosił do gabinetu. Lena przyniosła kawę z ciasteczkami i trochę przy tym pogadali o głupstwach. Strumiłow zwrócił uwagę, że na parterze nie ma krat. Alewicz skorzystał z okazji i zaczął prosić o pieniądze na remont: elewacja się sypie, podłoga zrujnowana... Co będzie, jak zjawi się jakaś delegacja zagraniczna? „Nie spieszymy się z delegacjami zagranicznymi”, ostudził jego zapał Opanasienko. Rzewski pił kawę, wymieniał uprzejme uwagi ze zwierzchnością i myślał o tym, jak przebiega podział sklonowanych komórek...

A późnym wieczorem ogarnął go irracjonalny strach. Był niemal pewien, że w Instytucie coś się stało, że spaliły się termostaty i temperatura roztworów spadła poniżej dopuszczalnej granicy. Za kwadrans jedenasta narzucił płaszcz i wyskoczył na ulicę. Padał deszcz, taksówkę oczywiście nie było, więc do Instytutu dotarł dopiero przed pierwszą.

W trzecim pokoju laboratorium było jasno jak na sali operacyjnej. Tola Milenkov, który tej nocy pełnił dyżur, zerwał się z kozetki, upuszczając na podłogę angielski kryminał. Rzewski przywitał się z nim, przejrzał taśmy kontrolne, a potem włączył mikroskop. Podział przebiegał absolutnie prawidłowo, temperatura była w normie, a Tola dodał potasu do roztworu dokładnie o wyznaczonej porze. Teraz siedział na kozetce i udawał, że czyta swój angielski kryminał. Siedział

cicho jak myszka, bo nie chciał przeszkadzać dyrektorowi. Uważał dyrektora za geniusza i był szczęśliwy, że pracuje pod jego kierownictwem. Rzewski wstał od mikroskopu i od razu zrobił się bardzo śpiący. Wyszedł.

Deszcz ciągle padał, ale Sergiusz Andriejewicz postanowił się przejść. Było już gorąco. Zatrzymał się koło baraku, wszedł do środka. Pachniało kurzem i zastarzałą spalenizną. Światła oczywiście nie było, więc Rzewski zapalił zapałkę, ale zaraz zrozumiał, że to zupełnie niepotrzebne, bo doskonale pamiętał, ile stopni prowadzi na piętro. Minęło prawie trzydzieści lat, a on to pamiętał. Wchodził po schodach i miał dziwne wrażenie, iż barak nie jest pusty, że za drzwiami ich pokoju na pierwszym piętrze stoi nadsluchująca jego kroków Liza. Jest już późna noc, a ona cały wieczór zamartwiała się, wyobrażała sobie z przerażeniem, jak to Sergiusz zamiast pracować tuli w objęciach laborantkę Iroczkę...

Drzwi były otwarte. Za oknem wisiał księżyc, na podłodze poniewierały się stare gazety. Nic więcej. Żadnego starego mebla i nawet tapety inne.

Skrzypnął stopień schodów, potem rozległ się odgłos uderzenia, jakby ktoś, kto po omacku wdrapuje się do góry, zachwiał się i zaczepił nogą o jakąś nierówność.

Powinienem się przestraszyć, pomyślał Rzewski. Bo kto i po co tłucze się po nocy po schodach pustego baraku? Chyba tylko stróż, który zobaczył kogoś wchodzącego do środka i teraz chce sprawdzić, czy mu się nie zdawało. Ale stróż zatrzymałby się na dole i krzyknął od drzwi „Kto tam jest?” Po co miałby wchodzić na górę?...

Uchylone drzwi zaczęły się wolno otwierać, jakby nocny gość nie był pewien, czy dobrze trafił.

Rzewski odsunął się w bok, żeby nie stać na tle okna. Najchętniej by stamtąd wyszedł, ale innych drzwi nie było.

10

Wzrok Rzewskiego przyzwyczyił się już do półmroku panującego w pokoju — zresztą przez okno wpadało nieco księżycowego światła — więc niemal natychmiast rozpoznał mężczyznę, który niepewnie zatrzymał się w progu i zaczął macać ścianę w miejscu, gdzie powinien znajdować się wyłącznik. Rozległ się trzask.

— Niech to diabli! — szepnął mężczyzna.

— Nic z tego — powiedział Rzewski. — Nie ma prądu. Mężczyzna znieruchomiał. Nie poznał Rzewskiego po głosie i wystraszył się tak, że jego galaretowate ciało rozmasało się po ścianie.

— Złakłeś się? — Rzewski podszedł do Wiktora. Po drodze potknął się o stertę gazet i omal się nie przewrócił. — To ja, Sergiusz.

— Ty? Po co tu przyszedłeś? — zapytał Wiktor ochryłym głosem. — Przestraszyłeś mnie. Nie spodziewałem się tu nikogo spotkać.

Zamilkli. Nastąpiła niezręczna pauza.

— Zapalisz? — zapytał Rzewski.

— Daj.

Sergiusz Andriejewicz sięgnął po papierosy.

— Dawno cię nie widziałem — powiedział.

— Nie odwiedzasz nas — odparł Wiktor.

— Twoje kobiety widują u siebie.

— To ja już pójdę — zdecydował się Wiktor.

Rzewski skinął głową. Też powinien już wracać do domu, ale nie miał ochoty na nocny spacer z Wiktorem.

Pewnie Elza powiedziała mu, że baraki poszły do rozbiórki, pomyślał Rzewski. A może Wiktor już wcześniej tu bywał? Nie przypuszczałem, że on tu może przyjść. Mnie ciągnie przeszłość niczym mordercę, który przychodzi na miejsce zbrodni, a tam już na niego czekają... Czy Wiktor schwytał mnie na miejscu zbrodni? Rzewski zamknął oczy i spróbował sobie wyobrazić pokój taki, jaki był wtedy. Zmusił się do ustawienia w myśli wszystkich mebli, położenia na stole swoich książek i nawet przypomniał sobie, że przykrywał nocną lampkę starą marynarką, żeby światło nie przeszkadzało spać Katuszy. Wyobraził sobie, jak siedzi nad książkami, a Liza leży w półmroku i patrzy mu w plecy, starając się nie kaszleć i nie poruszać. Ten uparty wzrok przeszkadzał mu pracować, złościł się więc i mówił cicho: „Śpij, kochana, musisz przecież rano wstać”. „Dobrze, odpowiadała Liza, naturalnie. Zaraz zasnę”.

A tego ostatniego ranka, kiedy zasnęli chyba dopiero około piątej, przegadawszy szeptem całą noc, otworzył oczy i jak we śnie, jak w trwającym wciąż jeszcze koszmarze, zobaczył Lizę stojącą w drzwiach z ciepło ubraną Katią i walizką w ręku. Nie uświadomił sobie jeszcze wówczas, że Liza odchodzi na zawsze, ale fakt, że odchodzi, sprawiał mu ulgę, pozwalał wydostać się ze ślepego zaułka, był jakimś wyjściem. Usnął...

Rzewski otworzył oczy, wyrzucił niedopałek przez okno i wyszedł z baraku, zamykając za sobą drzwi.

11

Nina bardzo chciała bodaj zajrzeć do wewnętrznego laboratorium, jeszcze raz zobaczyć miejsce, wokół którego koncentrowało się teraz życie całego Instytutu. Nic z tego. Do środka wstęp miało tylko pięć czy sześć osób, nie licząc Rzewskiego i Ostapienki z Prezydium Akademii Nauk. Kiedy jednak Ostapienko przywiózł jakąś wysoką komisję, Rzewski stanął okoniem i komisji do wanny nie dopuścił. Inna rzecz, iż przyjeżdżali jacyś przyjaciele Rzewskiego, siwi i godni — Tola Milenkow naturalnie wszystkich ich znał: profesor taki, profesor owaki — których Rzewski sam przeprowadzał przez stalowe drzwi i siedział tam z nimi całymi godzinami.

— Rozumiesz, Milenkow — powiedziała Ninka, która przyzwyczaiła się do Toli i zupełnie się go nie bała. — To dla mnie zupełnie jak zamknięte drzwi na zamku Sinobrodego. Pamiętasz?

— Pamiętam. Masz najwyraźniej zamiar w kwiecie wieku porzucić ten padół łez. Ale ja nie. Wiesz przecież, że kiedy cię wpuszczę, to Sinobrody natychmiast oboje nas wyrzuci na zbity pysk z Instytutu. I znajdzie na nasze miejsce mądrzejszych i posłusniejszych protegowanych. A ja mam ochotę tutaj się habilitować.

Samego Rzewskiego, chociaż widywała go teraz codziennie i dyrektor już przywykł uważać ją za swoją — nie za córkę Elzy, ale za swoją współpracownicę, a to przecież zupełnie co innego — i nawet kiedyś za coś skrzyczał, Ninka nie miała odwagi prosić o pozwolenie. Dyrektor był zły, stale podenerwowany, napadał: na ludzi bez dania racji, ale nikt się na niego nie obrażał. Nic dziwnego, to przecież w ich Instytucie, a nie gdzieś tam w Szwajcarii rósł w biowannie pierwszy sztuczny człowiek.

W domu Ninkę zaczęto traktować zupełnie inaczej, jakby i na nią padł tajemniczy odbłask tego, co robił Rzewski. Elza nie mogła mieć z tym nic wspólnego, bo pracowała na drugim piętrze. Wiktor w ogóle milczał, przychodził późno i szperał po kuchni, trzaskając drzwiczkami lodówki — matka wyskakiwała do kuchni i zaczynała się z nim kłócić. Babcia nigdy nie była religijna, ale

teraz nie wiedzieć czemu zaczęła powtarzać, że człowieka stworzyć może tylko Pan Bóg i że dlatego Rzewskiego nie minie kara.

— Głupstwa babcia plecie! — wypaliła na to Ninka, uciekła do siebie i nagle się rozszlochała. Zrobiło się jej okropnie żal Rzewskiego, który mieszka zupełnie sam i nikt go nie kocha.

W końcu Ninka dorwała się do wanny.

Był wieczór, ciemno i jakoś paskudnie. Drzewa za oknami już prawie całkiem potraciły liście, a jeden, żółty liść klonu, przykleił się do mokrej szyby i to było piękne. Tola wyszedł z wewnętrznego laboratorium, zobaczył Ninę siedzącą przy stole nad książką i zapytał:

— Co ty tu jeszcze robisz?

— Zastępuję Julkę. Zresztą wolę uczyć się tu niż w domu.

— A Julka?

— Odrobi mi to jutro.

— Dobra. Skoczę na róg do sklepu, zanim go nie zamkną. Mam ochotę na wodę mineralną. Posiedź tutaj i patrz na tablicę. Nic się nie powinno stać.

Ninka kiwnęła głową. Zewnętrzna tablica kontrolna zajmowała pół ściany. Rzewski już dawno, we wrześniu, zmusił wszystkich laborantów do nauczenia się na pamięć, co macza te wszystkie wskaźniki, lampki i cyferblaty. Na wszelki wypadek.

— Najważniejsze — powiedział Tola — to temperatura pożywki. No i oczywiście...

— Wiem — odparła Nina i poczuła, że się czerwieni. Miała delikatną, białą, łatwo czerwieniejącą cerę.

— Nie zamykam, bo za parę minut wrócę, ale ty tam się nie pchaj... — ruszył ku drzwiom i już w progu dokończył — ...ósma żono Sinobrodego. — Roześmiał się i zniknął.

Nina wstała i podeszła do tablicy kontrolnej. Strzałki przyrządów zamarły na swoich właściwych miejscach. W środku nic złego się nie działo, a gdyby nawet, to urządzenia alarmowe narobią takiego hałasu, że aż strach pomyśleć. Coś takiego zdarzyło się w zeszłym tygodniu, kiedy nieoczekiwanie podniosła się kwasowość. Na szczęście Rzewskiego nie było w Instytucie i zanim wrócił, wszystko udało się doprowadzić do normy.

Przespacerowała się po pokoju. W budynku było bardzo cicho, żółty liść na szybie trzepotał i najwidoczniej zamierzał odlecieć.

— Jak polecą — powiedziała sobie Ninka — to zajrzę. Rzucę tylko okiem i w nogi.

Koniec liścia oderwał się od szyby. Ninka przestraszyła się, że odleci i ona będzie musiała przekroczyć zakazane drzwi, ale krople deszczu znów przydusiły liść do szyby. Wtedy Nina pomyślała, że zaraz wróci Tola, więc podeszła do drzwi i lekko je popchnęła. Może drzwi się w ogóle nie otworzą?

Otworzyły się bez najmniejszego skrzypnięcia.

Przedśionek był jaskrawo oświetlony, a drzwi prowadzące do znajdującego się na prawo od wejścia inkubatora — ledwie uchylone. W stojącej tuż za progiem oszklonej szafie wisiały fartuchy. Było bardzo cicho.

Ninka otworzyła drzwi i wślizgnęła się do wnętrza.

Nie wiadomo czemu zobaczyła najpierw czarną kanapę, a na niej otwartą książkę i połówkę jabłka. Tam powinien siedzieć Tola Milenkov. Koło kanapy na stoliku stała zwyczajna nocna lampka. Było jeszcze jedno źródło światła na przeciwległej ścianie. Długa świetlówka nad przyrządami i aparaturą. Tam też stały wanny. Jedna pusta i ogromna jak egipski sarkofag w muzeum. Tajemnicze rzeczy działy się w drugiej, znacznie mniejszej, zagłębionej do połowy w podłodze i niestety zupełnie nieprzejrystej. To znaczy ścianki były przezroczyste, ale widać było przez nie tylko mętny żółtawy płyn, a ten chłopczyk był w tym płynie. Ninka pochyliła się nad wanną, ale i tak niczego nie zobaczyła. Wtedy dotknęła ścianki wanny. Poczowała ciepło i

gwałtownie cofnęła rękę. W tym momencie wszedł Rzewski. Ninka usłyszała kroki, pomyślała, że to wraca Tola i powiedziała:

— Tola, nie gniewaj się...

Zamilkła z ręką przyciśniętą do piersi, jakby obawiała się, że dyrektor zobaczy na jej dłoni odcisnięty ślad wanny.

— Co ty tu robisz? — Rzewski z początku nawet się nie zdziwił, a pytanie zadał odruchowo.

— Tola poprosił mnie, żebym tu pobyła, zanim wróci z wodą mineralną.

— Poprosił cię? — Rzewski jakby oprzytomniał. — Jak on śmiał zostawić wszystko na łasce smarkuli! Niczego tu nie dotykałaś?

Ninka pomyślała, że dyrektor zaraz ją zabije.

— Nie ruszałam niczego.

— Dlaczego się uśmiechasz?

— Wcale się nie uśmiecham, baronie.

— Co?!

— Sinobrody. Może on zresztą był hrabią?

Rzewski gapił się na nią przez chwilę, ale widocznie zrozumiał wreszcie, o co jej chodzi, bo sam się uśmiechnął.

— Byłam bardzo ciekawa — powiedziała Ninka. — Przepraszam, Sergiuszu Andriejewiczu, że tak bez pozwolenia, ale człowiekowi jest przykro, kiedy siedzi po całych dniach za ścianą, a tu mu nie wolno nawet zajrzeć...

— To nie jest moja zachcianka — odparł Rzewski. — A ty zachowujesz się jak dzieciak i wygadujesz głupstwa o Sinobrodym!...

— Pewnie, że to głupstwa — skwapliwie zgodziła się Ninka. — Ale te wanny są bardzo podobne do sarkofagów. Tylko faraona nie widać.

— I tak byś niczego nie rozumiała — powiedział Rzewski. — Wzrost ciała przebiega zupełnie inaczej niż w naturze. Zupełnie inaczej. Chciałabyś przecież zobaczyć zarodek, a właściwie niemowlę, ale to, co leży tutaj, jest o wiele brzydsze. Pojutrze nastąpią wielkie przenosiny. — Rzewski puknął w wieko pustego sarkofagu. — Proszę cię, żebyś tu więcej nie wchodziła. Włazłaś w zwyczajnym, niesterylnym fartuchu, naniosaś masę bakterii.

Nie, wcale się na nią nie gniewał. Jakie to szczęście, że się nie gniewa, myślała Ninka. Jaki on teraz przystojny! Taki człowiek nie może być świnią, choćby babcia nie wiem co o nim mówiła!

— Tu przecież wszystko jest hermetycznie zamknięte — powiedziała.

— Nie mogę ryzykować wyników dwudziestoletniej pracy. Fiaska eksperymentu nikt mi nie wybaczy.

— Zacznie pan od początku.

— Kiedy przekroczyło się czterdziestkę, to na zaczynanie od początku jest już za późno...

Rzewski usiadł na czarnej kanapie, wziął do ręki książkę Toli i nieuważnie ją przekartkował.

— Przecież chyba wiesz — powiedział — że hoduję swojego człowieka wbrew wszelkim prawom natury...

— Tak, od babci. Babcia mówi, że Bóg pana za to pokarze.

— Babcia? Pawła Władysława? Przecież ona zawsze była niewierząca!

— Niech się pan nie martwi. Ona tylko tak straszy.

— Nie martwię się z powodu babci. Jeśli nam się nie powiedzie, to i tak nauka nie stanie w miejscu, choćby nie wiem jakie babcie groziły nam największymi karami. Takie groźby najczęściej stają się katalizatorem postępu. Ale minie zamkną kredyty na badania...

Rzewski wstał z kanapy, właściwie zerwał się jak podrzucony sprężyną.

— A ty pchasz się z brudnymi rękami.

— Ja już nie będę!

Nina wiedziała, że powinna wyjść, ale nie ruszała się z miejsca. Bardzo jej było Rzewskiego żal. Był taki blady, wychudzony i zdenerwowany...

— Nie miał pan dotychczas dzieci — powiedziała i sama się zdziwiła słysząc własny głos. — Teraz pan będzie miał.

— Mówisz o nim?

— Oczywiście. Lepsze byłoby prawdziwe dziecko, ale na początek dobre i to.

— Co ty dziewczyno pleciesz! To nie będzie dziecko, tylko w pełni ukształtowany człowiek. Jeśli naturalnie wszystko pójdzie dobrze.

— Ale i tak trzeba będzie go piastować, wychowywać... Przecież on będzie jak biała kartka.

— Nie daj Boże! — wykrzyknął Rzewski. — Cały sens mojej pracy polega na tym, że on ma odziedziczyć moją pamięć.

— Dobrze by było — powiedziała Ninka.

— Jesteś pewna?

— Oczywiście. Pan jest dobrym człowiekiem.

— Coś takiego! — zdziwił się Rzewski. — Już cię tu nie ma!

W przedsiönku Ninka zderzyła się z Tolą, który tulił do siebie pięć butelek borżomi.

— Skąd się tu wzięłaś? — zdziwił się Tola.

— On tam jest! — szepnęła Ninka.

— Kto?

— Rzewski.

— Rany boskie! — zmartwił się Tola. — Ja to mam pecha! Po raz pierwszy od dwóch miesięcy wyszedłem na pięć minut i akurat wtedy... Myślałem, że on pojechał do domu.

— Wróciłem — rozległ się zza drzwi głos dyrektora. — Chodź tutaj.

12

Iwan — później wystawiono mu dokumenty opiewające na Iwana Siergiejewicza Rzewskiego, z patronimikiem od imienia donora, którego komórka została wykorzystana jako materiał wyjściowy sztucznie wyhodowanego człowieka — urodził się dnia 21 listopada o godzinie szóstej po południu.

Nikt z pracowników Instytutu nie poszedł do domu, chociaż nie było żadnego komunikatu o zakończeniu eksperymentu. Wszyscy czekali. Rzewski dosłownie przez trzy doby nie wychodził z wewnętrznego laboratorium, a Ninka na zmianę z pozostałymi laborantkami robiła zakupy i przygotowywała posiłki tym, którzy byli w środku. Wskakiwali stamtąd na kilka minut, coś tam przegryzali w locie i znów znikali za stalowymi drzwiami.

Tego dnia z samego rana w Instytucie pojawili się nowi ludzie — lekarze. Potem dwa razy przyjeżdżał Ostapienko i raz jeden z tych starych profesorów. W gabinecie dyrektora bez przerwy dzwonił telefon, ale Lena miała surowo przykazane, żeby go nie wołać i nic mu nie przekazywać, choćby nawet miało zacząć się trzęsienie ziemi.

Ninka sama nie poszła na obiad, bo komu tam jedzenie w głowie. Myślami była cała za drzwiami, w inkubatorze, gdzie budził się do życia ten chłopczyk, homunkulus, Frankenstein... Niezbyt dobrze orientowała się we wskazaniach przyrządów na zewnętrznej tablicy kontrolnej, więc obserwowała raczej reakcje biologów z innych laboratoriów, którzy zachowywali się tak, jakby oglądali pasjonujący mecz piłki nożnej.

O szóstej z minutami któryś z młodych talentów, w jakie Instytut obfitował, popatrzył na gmatwaninę krzywych miotających się na ekranach, powiedział „No i cacy” i zaklaskał w dłonie. Wszyscy zaczęli gadać jeden przez drugiego i gapić się na drzwi. Nince wydało się nie wiadomo czemu, że zaraz przez te drzwi wyjdzie Rzewski pod rękę z Nim.

Rzewski długo nie wychodził, a kiedy wreszcie się pokazał, to szedł z nim tylko jeden z lekarzy i nikt więcej. Natychmiast otoczył go tłumek dryblasowatych młodych talentów i w ich asyście Sergiusz Andriejewicz wyszedł na korytarz. Ninoczka poczuła śmiertelne zmęczenie, ale musiała patrzeć na drzwi wiodące do wewnętrznego laboratorium, bo przecież On mógł stamtąd wyjść, samotny i nie kontrolowany. Nie, to było niemożliwe, bo w środku pozostało jeszcze kilku ludzi, Ninka sama widziała, jak tam wchodzili. Kiedy wreszcie wyszedł na papierosa Tola Milenkov, nie wytrzymała i zapytała cicho, żeby nikt nie usłyszał i nie zaczął się z niej śmiać:

— On chodzi? Mówi?

— Będzie chodził! — odparł z dumą Tola.

Potem wrócił Rzewski i zażądał od Falejewy grafiku dyżurów laborantek. Usiadł za biurkiem. Ninka podeszła bliżej i spostrzegła z rozczuleniem, że dyrektor włosy na karku ma rzadkie i puszyste. Chętnie by je pogładziła.

— W ciągu najbliższego tygodnia — powiedział Rzewski do Falejewy, ale wszyscy go usłyszeli — musi ktoś przy nim siedzieć. Poprosiłem o pomoc Zinelmana, ale oni mają tam kłopoty ze średnim personelem. Pielęgniarki nam dadzą, ale do pomocy będzie potrzebny ktoś od nas. Są ochotnicy?

— Oczywiście — powiedziała Falejewa, ale żadna z dziewczyn się nie odezwała, bo wszystkie nagle obleciał strach.

Przestraszył się nawet laborant Jura, który trenował podnoszenie ciężarów. A najbardziej złąkla się Ninka i dlatego zapytała cieniutkim głosikiem:

— Mogę być ja?

— Oczywiście — odparł Rzewski. Najwidoczniej nie obawiał się o los Ninki. — Kto jeszcze?

Wtedy zgłosił się Jura i sama Falejewa, ale Falejewy nie wzięli, bo miała dwoje dzieci i zawsze spieszyła się z zakupami do domu, tylko kolejną ochotniczkę Klarę Karapetian. Kiedy Rzewski wyszedł, Jura powiedział do niej:

— No i w końcu masz narzeczonego. Tylko nie bierz się zbyt ostro do rzeczy!

Klara mocno się na niego zdenerwowała. Była panią dobrze po trzydziestce i marzyła o zamążpójściu. Czasami krewniacy z Kirowokanu przywozili solidnych konkurentów do ręki, ale Klara na żadnego z tych starszków nie mogła się zdecydować. Sama o tym nieraz opowiadała ze śmiechem, ale co wolno wojewodzie...

13

Dokoła głucho i ciemno, głucho i ciemno, ciemno i głucho. Ciemność nie jest bezbrzeżna, gdzieś się kończy, trzeba tylko się z niej wygramolić... Gdyby przynajmniej było wiadomo, w którą stronę pełznąć, bo gdy się poczołgać w złą stronę, to trafi się do studni — to jeszcze nie studnia, lecz nie nazwane pojęcie — do miejsca, gdzie się spada, spada, spada, aż ciało staje się okropnie ciężkie, olbrzymie i rośnie, ale nie dotyka ścian studni, bo ściany rozsuwają się, rozstępują, aby przepuścić go do otchłani.

A on nie wie, co to znaczy, chociaż powinien wiedzieć, bo inaczej nie zdoła wydostać się z głuchoj ciemności...

Ninka wróciła do domu około dziewiątej.

W kuchni było cicho. Tak cicho, że Ninoczce wydało się, iż nikogo w niej nie ma. Ale oni tam jednak siedzieli. Wszyscy troje...

Ojciec był ululany na refleksyjnie. Matka szatkowała kapustę, a babcia robiła na drutach, zajmąwszy swoim fotelem całą resztę miejsca w malutkiej kuchence. Rodzina milczała i czekała na Ninke.

— Czemu tak późno? — zapytał ojciec nienapastliwie, jakby nawet z ulgą.

— Tacy jesteśmy wszyscy zmęczeni... — powiedziała Ninka i zamilkła. Kiedy szła do domu, to nie wiedziała, co zrobi: wpadnie z krzykiem: „Urodził się!” czy też po prostu położy się spać.

— Wy? — zapytała babcia.

— Tak, my! — Ninka powiedziała to z pełnym przekonaniem, gdyż istotnie miała prawo czuć się członkiem spracowanego, zmęczonego zespołu.

— Nic dziwnego — zauważył ojciec. — Codziennie przychodziłaś późno w noc... Teraz przynajmniej posiedzisz trochę w domu.

— Nie — odparła Ninka. — Teraz będę miała jeszcze więcej pracy.

— To okropne! — wykrzyknęła babcia.

— Dlaczego? Bardzo się cieszę, że poproszono mnie, żebym przy Nim dyżurowała.

— Przy kim? — zapytała ostrym głosem matka.

— Przy Iwanie. Bo on ma na imię Iwan, wiesz?

— Niczego nie wiem, bo wyszłam wcześniej. Iwan to jego progenitura?

— Wyrażaj się jaśniej — dodał ojciec. — Wytłumacz wszystko rodzicom.

— Iwan jest na razie jeszcze bardzo słaby, jak rekonwalescent po ciężkiej chorobie. Dlatego będziemy po kolei przy Nim dyżurować.

— Mój Boże — westchnęła babcia. — Sama przy tym potworze?

— To nie jest żaden potwór, tylko biologiczny syn Rzewskiego!... Matka rzuciła nóż, który odbił się od deski i upadł na podłogę.

— To morderca! — krzyknęła histerycznie. — Zamordował Lizę! Morduje wszystko, do czego tylko się dotknie. A całą tę historię rozpętał tylko dlatego, żeby udowodnić mi, że może mieć dziecko!

— Jaką Lizę? — zapytała Ninka.

Wszyscy na moment zamilkli i popatrzyli na nią jak na intruza. Matka podniosła nóż, a babcia zapytała:

— Nie ma już kefiru? No to może by ktoś poszedł, zanim pozamykają sklepy?

— Nie zgadzam się — powiedziała matka i machnęła nożem — żeby Nina zbliżała się do tego potwora. Jestem temu kategorycznie przeciwna. Jeśli będzie trzeba, to potrafię zgnoić tego drania Rzewskiego!

I wtedy Ninka uciekła z domu w przejmująco zimną ciemność. Miała domowy telefon Rzewskiego, który wynotowała sobie kiedyś z książki telefonicznej. Weszła do budki telefonicznej jeszcze nie wiedząc, że zadzwoni — po prostu oświetlona żółtą żarówką kabina była miejscem, w którym mogła się schronić. Weszła więc i... wykręciła numer Rzewskiego.

Usłyszała zaspany głos dyrektora, zrozumiała, że go obudziła i chciała odwiesić słuchawkę, ale było już za późno.

— Słucham. Kto mówi? — zapytał Rzewski surowym tonem.
— Przepraszam — wyjąkała zahipnotyzowana tym pytaniem Ninka — nie chciałam pana budzić... Tu Nina Gulińska.
— Coś się stało? Dzwonisz z Instytutu?
— Nie. Poszłam do domu i pokłóciłam się z mamą. To znaczy nie pokłóciłam się, tylko po prostu od nich uciekłam.
— W takim razie przestań płakać. Nic szczególnego się nie stało. A o co się pokłóciłyście?
— Ona mi nie pozwala, a ja chcę. Wyprowadzę się od nich, jeśli mi nie pozwoli...
— Dzwonisz z automatu?
— Tak.
— Skąd?
— Z Tagamki.
— Wobec tego przyjedź do mnie. Zapamiętasz adres?
— Mam zanotowany, ale jest już bardzo późno, a pan powinien się wyspać.
— Masz się gdzie podziać?
— Nie bardzo.
— No to wytrzymaj oczy i przyjeżdżaj.
— Nie, dziękuję — powiedziała sucho Ninka i odwiesiła słuchawkę. Potem poszła do innego automatu, zadzwoniła do koleżanki, że chce u niej przenocować, i pojechała do Rzewskiego.

15

Mieszkanie dyrektora bardzo ją rozczerowało. Często wyobrażała sobie jego prywatny świat, sterty książek i rękopisów porzucanych na biurku i podłodze i oczywiście wielki czarny fotel podobny do tego, który pozostał po dziadku i został na polecenie babci wyrzucony, bo przecież nie można tolerować w domu takiego rupiecia. Tymczasem mieszkanie okazało się malutkie, dwupokojowe, czysto wysprzątane i bezosobowe.

— Miałem akurat zamiar napić się kawy. Masz ochotę?
— Dziękuję, tak.

Rzewski poszedł do kuchni, a Ninka stanęła przy dużym, pustym biurku, rozejrzała się, zobaczyła szeroki tapczan i pomyślała: „Pewnie odwiedzają go tu kobiety. Przychodzą, a on im robi kawę i częstuje koniakiem, który trzyma w tamtym barku... A może traktuje mnie jak jeszcze jedną kobietę?”

— Odgrzać parówki? — zapytał Rzewski z kuchni.

Ninka poszła tam, zajrzała przez uchylane drzwi. Kuchnia była w miarę czysta i niezbyt dobrze wyposażona.

— Dziękuję, nie jestem głodna. A kto u pana sprząta?

— Ja sam, tylko do mycia okien sprowadzam pewną dziewczynę ze spółdzielni „Zorza”. Masz tu cukierki i herbatniki. Postaw je na stoliku przy tapczanie.

On zupełnie nie widzi we mnie kobiety, pomyślała z przykrością Ninka i nie zmieniła zdania nawet wtedy, kiedy Rzewski wyjął jednak z barku butelkę koniaku i dwa kieliszeczki.

— Wypijmy za pierwszy krok — powiedział.

Nalał kropelkę koniaku do jej kieliszka, a Ninka usiadła wygodnie na tapczanie. Zrozumiała, że dyrektor traktuje ją jak kolegę, chociaż sytuacja jest dwuznaczna. Gdyby mama zobaczyła, jak ona pije koniak z dyrektorem Instytutu!

— Opowiadaj, co tam się stało w domu — powiedział Rzewski.

— Oni tam wszyscy powariowali. Mama nie pozwala mi kontaktować się z Iwanem. Mówi, że to potwór. Proszę się na nią nie obrażać. Po prostu się zdenerwowała i przestraszyła.

— Znam twoją matkę od wielu lat i wiem, jaka potrafi być w gniewie.

— Wobec tego wie pan również, że mama szybko się uspokaja.

— To nie jest zupełnie tak, ale nie mówmy o tym. Zastanówmy się raczej, co teraz z tobą zrobić.

— Rzewski nalał sobie koniaku i odmierzył następną kropelkę do kieliszka Ninki. — Przenieść cię do innego laboratorium?

— Dlaczego? — przestraszyła się Ninka. — Czy źle pracowałam?

— Pracowałeś bez zarzutu, ale może ty sama się go boisz?

Ninka pokręciła przecząco głową, bo nie potrafiła skłamać, że zupełnie się Iwana nie boi.

— Sądzę, że powinniśmy jutro z rana razem go odwiedzić — powiedział dyrektor. — Musisz go najpierw poznać.

— On już... rozumie?

— Podobnie jak człowiek wracający wolno do zdrowia po długiej i ciężkiej chorobie. Iwan jest jeszcze bardzo słaby.

Ninka wzięła butelkę, nalała sobie pełny kieliszek, nie zapominając przy tym o dyrektorze, który popatrzył na nią uważnie i uśmiechnął się kącikami ust. Potem wziął butelkę i odstawił do barku. Zamknął go i powiedział:

— Wystarczy, bo się spijemy. Ale to nieważne... Mówiłaś, że mama się gniewa. Nie ona jedna. Większość ludzi uważa przecież, że tworzyć sobie podobnych można jedynie metodami ortodoksyjnymi, że innych metod stosować po prostu nie wolno, chociaż nie tylko ja jestem zdania, że rozmnażanie płciowe czasami staje się ślepym zaułkiem ewolucji...

— Ktoś inny też wpadł na ten pomysł?! — Ninka była oburzona.

— Istnieje zjawisko tak zwanej konwergencji. Wszyscy żyjemy w mniej więcej jednakowych warunkach, karmimy się tą samą literaturą, nic więc dziwnego, że dochodzimy do podobnych wniosków. Jakies dwadzieścia pięć lat temu... — Rzewski nagle zamilkł i Ninka zrozumiała, że przypomniał sobie Lizę, którą właśnie wtedy zamordował.

— ...Zająłem się partenogenezą — powiedział po dłuższej chwili. — Wiesz, co to jest?

— Wiem. Dzieworództwo.

— Samice niektórych gadów mogą rozmnażać się bez udziału samców, ale...

— Wtedy rodzą się tylko samice — dokończyła Ninka.

— Dlaczego?

— Dlatego, że jajo, żeńska komórka płciowa zawiera tylko połowę zestawu chromosomów — wyrecytowała Ninka.

— A zatem teoretycznie możliwy jest świat samych kobiet. Bez jednego bodaj mężczyzny... Nie jesteśmy po prostu potrzebni... Nie powinnaś już wracać do domu?

— Nie, ja często od nich uciekam. Oni myślą, że nocuję u Simy Miłosławskiej.

— Może zadzwonisz?

Ninka pokręciła przecząco głową.

— Minęło dwadzieścia pięć lat. Myślisz, że to długo? Nic podobnego. Niedawno zająłem do baraku, w którym wówczas mieszkałem i okazało się, że wszystko pamiętam... No więc z początku kroilem jaszczurki, gapiłem się w mikroskop i czytałem. Pracowałem, a ludzie mówili o mnie, że się dobrze zapowiadam. Mówili to bez zawiści, gdyż wydawałem się im fantastą nawet wtedy, kiedy Amerykanie poważnie zajęli się tą dziedziną... Po paru latach klonowanie przestało być dniem jutrzejszym nauki. Urodziły się pierwsze zdrowe niemowlaki, których cały materiał

genetyczny pochodzi ze sztucznie rozmnożonej komórki ojca. Najstarszy z nich żyje w Japonii i liczy dziś trzy lata.

— Wiem — powiedziała Ninka.

— A już przed dziesięciu ponad laty pojawiły się szczeniaki wyhodowane wbrew tak zwanym prawom natury. Szczeniaki wyrosły, są już starymi psami, rosną też „sztuczne” niemowlęta — piją mleczko, gaworzą... Co w nich potwornego? To przecież zwyczajni, normalni ludzie, którzy tym się jedynie różnią od pozostałych, że zostali stworzeni niestandardowymi metodami... Chcesz jeszcze kawy?

— Nie, bo potem nie usnę.

— A ja się napiję.

Rzewski poszedł do kuchni, nastawił wodę i po chwili wrócił.

— Ja postanowiłem pójść dalej — powiedział. — Pomyślałem sobie, że skoro potrafimy wyhodować w probówce noworodka, to nie ma powodu, żeby się na tym zatrzymywać. Trzeba przyspieszyć proces i stworzyć od razu dorosłego człowieka bez nieproduktywnego bagażu dzieciństwa...

— Myśli pan, że dzieciństwo jest niepotrzebne? — przerwała mu Ninka.

— No to sobie przypomnij, jak to było w dzieciństwie. Nic tylko ciągła nauka, nakazy i zakazy. Chciałabyś jeszcze raz to przeżyć?

— Nie wiem. Chyba nie, ale wydaje mi się, że trudno obudzić się od razu dwudziestoletnim... Te japońskie dzieciaki nie wiedzą, że zostały wyhodowane w probówce.

— Dowiedzą się. Zawsze znajdzie się jakiś życzliwy.

— A co pan powie jutro Iwanowi?

— Mam nadzieję, że on sam wszystkiego się domyśli. W przeciwnym razie nasz eksperyment byłby nieludzki. Przecież cały jego sens ma polegać na tym, że hodujemy nie kukłę, tylko nowego człowieka, który dorasta w ciągu pół roku. Człowieka z normalnym mózgiem, tyle że nie pustym od samego początku

— A jak to się dzieje? — zapytała Ninka.

— Nie potrafię ci tego wytłumaczyć w paru słowach, powiem więc tylko, że istota tworzona naszą metodą dziedziczy nie tylko konstytucję fizyczną swojego donora, swojego ojca, ale również całą zawartość jego mózgu...

— Czytałam o tym — powiedziała Ninka — ale mimo to trudno mi uwierzyć, że on wszystko wie.

— Iwan powinien wiedzieć to, co ja wiem. Jutro sprawdzimy, czy tak jest naprawdę.

Rzewski drobnymi łyżkami popijał kawę, Ninka milczała. Coś w tym wszystkim było nie tak jak należy. To znaczy jeśli chodzi o Iwana.

— Jest pan pewien? — zapytała.

— Czego?

— Że on wszystko właściwie rozumie i pamięta.

— Kilka miesięcy temu, może o tym słyszałaś, natknąłem się w swoim gabinecie na szympansa, który wiedział, jak otworzyć klatkę, odszukać mój pokój, dostać się do szuflady mojego biurka i wyjąć stamtąd cukierki. Ale to nie był ten sam szympan, który przez pięć lat pobytu w wiewarum zdążył nauczyć się tych wszystkich sztuczek, tylko jego sztuczny trzytygodniowy syn. A ten syn ani razu nie wychodził z klatki. Widziałaś go zresztą.

— Lew? Wiem, on zawsze kłóci się z Maksem.

— Jeśli nasz syn — Rzewski tonem głosu podkreślił słowo „nasz” — będzie się ze mną kłócił, to bardzo mnie to ucieszy. Wiesz dlaczego?

— Nie.

— A dlatego, że ja sam ciągle się z sobą samym kłócę. Iwan zaś jest moją kontynuacją. Rozumiesz, przez pół życia gromadziłem wiedzę i doświadczenie, popełniałem błędy i teraz, kiedy dożyłem niemal starości...

— Pan wcale jeszcze nie jest stary! Rzewski machnął niecierpliwie ręką.

— Dotarłem do swojego szczytu i teraz siłą rzeczy będę musiał iść w dół. Naturalnie postaram się schodzić jak najwolniej, ale ten proces jest nieuchronny... A właśnie, że nie!

— To dlatego wybrał pan siebie na ojca?

— Czuje moje serce, że była już o tym mowa w waszej kuchni i że w tym centrum wszechświata za to również już mnie potępiono...

Ninka nie odpowiedziała. Zresztą wyglądało na to, że dyrektor już nie bardzo bał się tego, co mówi się o nim w kuchni u Elzy.

— Przepraszam. Pytałaś, dlaczego wzięto moją komórkę. A niby czyją miałem wziąć? Alewicza? Opanasienki? Bezimiennego ochotnika?...

— Nie, ja to rozumiem... — powiedziała Ninka głosem pełnym poczucia winy, jakby to ona, a nie jej matka potępiła Rzewskiego.

— Akurat! Uważasz, że zrobiłem tak, bo jestem mądrzejszy od innych? Nic podobnego, po prostu kieruję eksperymentem i najwięcej o nim wiem. A zatem najkorzystniejsze jest, aby nasz człowiek przyspieszony, podobnie jak i ja, był na bieżąco o wszystkim poinformowany. Po diabła mam tracić czas na zrozumienie nie tylko sztucznego syna towarzysza Opanasienki, ale również samego towarzysza Opanasienki?

— A samego siebie pan rozumie? — odważyła się zapytać Ninka.

— Ja? — Rzewski głośno się roześmiał. — Zagadałem cię. Przepraszam. Która to godzina? Dwunasta? Chodźmy, odprowadzę cię... Mnie też trochę świeżego powietrza przed snem nie zaszkodzi.

— Nie pójdę do domu. Będę nocowała u Simy.

— Ale najpierw zadzwonisz do domu. To polecenie służbowe! Ninka posłusznie wykręciła numer i przerwała wrzaski matki krótkim:

— Nocuję u Simy. — Po czym odłożyła słuchawkę.

— Nie powiedziałaś, że byłaś u mnie?

— Oczywiście, że nie!

— Chyba dobrze zrobiłaś. Elza przynajmniej nie dowiedziała się o jeszcze jednej mojej podłości.

16

Wyczuwam samotność, w której ożywa moje ciało.

Mam ręce, które wyrastają z ramion, są długie i mają na końcach cienkie korzonki. Mam nogi, też z korzonkami na końcach, te korzonki mają jakąś nazwę, ale jaką? Liza je jakoś nazywała, ale nie wiem, co to jest Liza...

17

Na dworze było świeżo i przyjemnie. Kiedy przechodzili przez ulicę, Rzewski ujął Ninkę pod ramię, a ona tylko z najwyższym trudem powstrzymała się od tego, żeby przycisnąć jego rękę. Wtedy dyrektor z pewnością by się roześmiał, a to byłoby okropne.

Stanęli na przystanku, bo Ninka za nic nie chciała wziąć od Rzewskiego pieniędzy na taksówkę. Autobusu długo nie było, więc Rzewski zapalił i powiedział zupełnie innym głosem niż w domu:

— Bardzo tego pragnąłem, nawet nie masz pojęcia jak bardzo. Ludzie tego jeszcze nie rozumieją, ale ja przecież wynalazłem nieśmiertelność.

— Jak to? Przecież i tak pan w końcu umrze.

— Teraz już nie. Bo co to jest śmierć? Nie tylko ustanie funkcjonowania ciała. Z tym ludzie zawsze, w każdej religii godzili się bez większego trudu, ale nigdy nie potrafili pogodzić się z tym, że wraz z każdym człowiekiem umiera świat myśli, pamięci i uczuć. Dlatego jedni wymyślili nieśmiertelną duszę, inni zaś reinkarnację, odrodzenie tej samej istoty utkanej z myśli i pamięci w nowym żywym stworzeniu. Tak więc ja kiedyś umrę, ale w tym młodym człowieku, który teraz powoli wkracza w życie, już ożywają moje myśli. A po upływie jakichś trzydziestu lat Iwan stworzy w ten sam sposób swojego z kolei syna, swojego duchowego dziedzica i przekaże mu nie tylko swoje, ale także i moje myśli. Niemal stuletnie doświadczenia. Wyobraź sobie, że za dwieście lub trzysta lat na Ziemi będzie iluś tam geniuszy dysponujących wiedzą i doświadczeniem kilku pokoleń, ludzi o pięciu czy dziesięciu duszach...

— Trochę mnie to przeraża — powiedziała Ninka.

— A mnie nie — Rzewski zaciągnął się ostatni raz i wyrzucił niedopałek papierosa.

— A co z uczuciami? — zapytała Ninka. — Uczuciami kilku pokoleń?

Rzewski nie odpowiedział. Zobaczył wolną taksówkę i podniósł rękę.

— Nino, skoro się nie spieszysz, to wpadnijmy na pięć minut do Instytutu. Zobaczmy, co tam się dzieje, a potem odwiezę cię do twojej koleżanki, zgoda?

— Naturalnie — odparła Ninka, choć poczuła się tak, jakby ktoś nieoczekiwanie zaproponował jej pójście do dentysty.

W taksówce przez dłuższą chwilę nie odzywali się do siebie, aż wreszcie Rzewski powiedział:

— Jestem ci bardzo wdzięczny za to, że przysłaś. Musiałem się przed kimś wygadać. Przed kimś bliskim.

— Ależ panie dyrektorze... — wybąkała Ninka i zaczęła się zastanawiać, dlaczego on ją wyróżnia spośród innych. Ze względu na byłą przyjaźń z rodzicami czy też ze względu na nią samą?

Samochód skręcił na drogę prowadzącą od szosy do Instytutu. Gmach był ciemny, świeciły się tylko dwa okna wartowni. Wartownik długo nie chciał otwierać, a kiedy w końcu się zdecydował, zaczął burczeć pod nosem, że wszyscy teraz powariowali, łążą po nocy i w ogóle się zachowują.

Przeszli słabo oświetlonym korytarzem do laboratorium. W pierwszej sali siedział laborant Juroczka i kręcił gałką odbiornika.

— Ciszej — powiedział do niego Rzewski.

— Tam wcale nie słychać — odparł Juroczka, ale wyłączył radio i zaczął się gapić na Ninkę. Zastanawiał się, po co ona przysła o tej porze.

Rzewski pociągnął Ninkę do przedsionka—śluzy, a tam zmusił ją do umycia rąk jakimś paskudnie cuchnącym płynem, pomógł założyć fartuch, podał maskę. Robił to wszystko szybko i nerwowo, jakby spieszył się na randkę.

Potem zadzwonił do drzwi wewnętrznego laboratorium. Uchyliła się zasłonka judasza, drzwi się otworzyły.

W środku wszystko się zmieniło. Zniknęły sarkofagi. Ninka jakoś nie zauważyła, kiedy je demontowano i wnoszono łóżko. Prawie normalne łóżko, przy którym teraz wznosił się stojak z

kroplówką, a obok niego niewielka tablica rozdzielcza. Leżący na łóżku człowiek spał. Jego twarz bardzo Ninkę rozczarowała. Była gładka i blada pod szczeciniastą szczotką pszenicznych włosów. Ręce miał bezwładnie wyciągnięte wzdłuż ciała. Mężczyzna dyżurujący przy pulpicie wstał i zaczął coś Rzewskiemu szeptać na ucho. Dyrektor słuchał go uważnie, ale patrzył na Iwana. Pielęgniarka siedząca po drugiej stronie łóżka na czarnej kanapie, która pozostała w laboratorium jeszcze z czasów, kiedy żadnego Iwana w nim nie było, mrużyła zaspane oczy.

Ninka szukała w twarzy młodzieńca podobieństwa do Rzewskiego. Oczywiście znalazła je. Taki sam nos, kształt podbródka... Ciekawe, jakie on ma oczy?

Młodzieniec jakby usłyszał jej pytanie, bo poruszył ręką i wolno otworzył oczy. Popatrzył na Ninkę, ale jakoś tak leniwie, jakby w ogóle nie chciał patrzeć. I znowu zasnął.

18

Jednym z pierwszych, jeśli nie pierwszym własnym, prawdziwym wspomnieniem Iwana był taki oto obrazek:

Budzi się w nocy. Spał bardzo długo i właściwie jeszcze na dobre się nie przebudził, tylko na moment wynurzył się ze snu... I zobaczył stojącą w półmroku nad łóżkiem szczupłą, wielkooką dziewczynę z szopą ciemnych włosów, patrzącą na niego z takim przestachem, jakby to on właśnie jej się przyśnił. Twarz dziewczyny wydaje się znajoma, ale nie potrafi się skupić i przypomnieć sobie, skąd właściwie ją zna. Potem dziewczyna gdzieś znika i w tym momencie Iwan uświadamia sobie, że odwiedziła go Nina, Ninka, córka Elzy. Ale kto to jest Elza i co w ogóle znaczy to słowo, ta sekwencja dźwięków: Elza?...

Potem przyśnił mu się pierwszy sen, irytujący i idiotyczny. W tym śnie Ninka przyciska go do ziemi i dusi żelaznymi rękami. Ale to nie są jej ręce, tylko babci, której na starość wymieniano wszystkie narządy na sztuczne i zaopatrzone w koła.

Kiedy Iwan obudził się ponownie, był już rano i przez szczelinę w niedokładnie zaciągniętych zasłonach wpadał promień słońca, zupełnie taki sam jak wtedy, kiedy z Lizą i Katią mieszkali ma wsi pod Kownem, a on nie kwapił się z wstawaniem, czekał, aż Liza pierwsza wyskoczy z łóżka, podbiegnie na bosaka do okna i jednym gwałtownym ruchem rozsunie story...

W laboratorium była Ninka. Siedziała sobie w kącie i przepisywała jakieś papiery. Sypkie włosy spadały jej na twarz, więc od czasu do czasu wysuwała ostry różowy jęczyczek i odsuwała nim szczególnie dokuczliwy kosmyk. Dziwne, że do tej pory nie zwracał na Ninkę uwagi. Dziewczyna już od pół roku pracuje w Instytucie i prawie się z nim nie spotyka... A zresztą po co? Do laboratorium przeniósł ją dlatego, że prosiła go o to Elza, którą ta prośba wiele kosztowała. Jednak poprosiła, bo nie miała innego wyjścia: obowiązkiem matki jest troszczenie się o przyszłość dziecka. Ale dlaczego Ninka jest tutaj?

Zaraz potem uświadomił sobie, że musi być chory. Nie wiedział, kiedy i na co zachorował, ale musiał zachorować poważnie, gdyż w przeciwnym razie nie znalazłby się na tej szpitalnej sali. W tym momencie wypłynęło nowe wspomnienie, zarysowało się mętnie i niewyraźnie jak wizerunek na niewprawnie wywołanym zdjęciu.

Wspomnienie było przykre, niepokojące, niejasne i zawikłane. Mówiło to wspomnienie, że on, Sergiusz Rzewski, leżący w wewnętrznej sali swego własnego laboratorium, wcale nie jest Sergiuszem Rzewskim, lecz kimś zupełnie innym, nie mającym jeszcze imienia, a zatem człowiekiem nie istniejącym, którego można zatrzymać tak samo, jak niedawno go uruchomiono.

Najgorsze w tym wszystkim było to, że uruchomił go, dał mu początek Sergiusz Rzewski, to znaczy an sam, istniejący teraz poza nim...

Tu jego myśli przerwały się, zmaciły. Usłyszał podenerwowane głosy. Tęga kobieta, której nie znał, mówiła coś o stresie, młody mężczyzna o znajomej twarzy — chyba instytutowy technik? — zakrzętał się przy aparaturze. Potem był zastrzyk, krótki ból i łagodny niebyt.

Do tego niebytu docierały jednak głosy ze świata. Dlatego dowiedział się, że mówią o nim jako o Iwanie. Wiedział, że głosy mylą się i chciał, bez oburzenia, bez niepokoju, bez irytacji poprawić rozmawiających, powiedzieć im, że jest Sergiuszem Rzewskim, chociaż sam wie, że do tego imienia i nazwiska nie ma najmniejszego prawa.

Kiedy następnego ranka znów się ocknął, uświadomił sobie już i przeżył swoje oddzielenie od Sergiusza Rzewskiego, swoją autonomiczność i wcale się nie zdziwił, kiedy Sergiusz Rzewski, siedzący przy jego łóżku i obserwujący wskazania przyrządów, powiedział:

— Dzień dobry, Iwanie. Chciałbym z tobą porozmawiać.

Zamknął oczy i znów je otworzył, dając w ten sposób znak, że gotów jest słuchać.

19

— Dzień dobry, Iwanie — powiedziała Ninka, która jak zwykle wbiegła do laboratorium. — Jadłeś już obiad? A ja nie zdążyłam. Wpadłam do bufetu, ale tam była taka okropna kolejka, że...

Iwan skinął głową. Od razu przypomniało mu się, jakie kolejki bywają w bufecie, i pomyślał, że trzeba wezwać Alewicza. Starszy pan przecież już dawno dostał polecenie, żeby wydzielić dodatkowy pokój na bufet!

Potrząsnął głową, jak czynił zawsze, kiedy odpędzał zbędne, obce myśli. To był jego własny gest.

— Zjedz kurczaka — powiedział. — Ja i tak nie mam na niego ochoty.

Maria Stiepanowna, pielęgniarka, pokręciła z wyrzutem głową. Nie znosiła familiarnych stosunków między pacjentem a personelem medycznym. Ninka była personelem, a Iwan pacjentem i każde z nich powinno się odpowiednio zachowywać. Na tym polegał porządek rzeczy, jedyny porządek w tym domu wariatów.

— Dobra — powiedziała Ninka. — A ty naprawdę nie jesteś głodny?

— Przecież wiesz, że karmią mnie tak, jakbym trenował podnoszenie ciężarów — odparł Iwan.

Ninka zabrała się do kurczaka. Iwan patrzył w okno. W tym roku śnieg spadł wcześniej i chyba się jeszcze nie utrzyma... Szkoda, bo lepsze już mrozy od tej paskudnej jesiennej sloty. Zaczął się zastanawiać, jak dawno nie jeździł na nartach, ale zaraz potrząsnął głową. Ninka zauważyła to i powiedziała ze śmiechem:

— Wiem, o czym pomyślałeś. Pomyślałeś, że nieźle byłoby pojeździć na nartach.

— Jak się tego domyślałeś?

— Jestem telepatką, a tak naprawdę, to sama dziś o tym pomyślałam, więc niby dlaczego ty nie miałbyś o tym pomyśleć?... Umiesz jeździć na nartach?

— Umiałem — odpowiedział Iwan.

— Wyjdę na moment — powiedziała Maria Stiepanowna. — Za pół godziny wrócę.

— Może pani w ogóle iść do domu — powiedział Iwan. — Nie ma sensu przy mnie siedzieć. Jestem zdrow jak byk.

— Wielu ludzi wygląda na zdrowych. Sprawiają takie wrażenie. — Maria Stiepanowna widziała niejednego umierającego symulującego zdrowie.

Iwan popatrzył na swoje ręce. Ręce jak ręce. Bardzo podobne do rąk Sergiusza Rzewskiego, który jednak palce miał popuchnięte w stawach, a na grzbietach dłoni brązowawe plamy.

Iwan patrzył na swoje ręce ze zdziwieniem, jak na cudze. Ninka żwawo obgryzała kurze udko i zerkała na niego z ukosa. Zawsze starała się odgadnąć jego myśli i często jej się to udawało. Przez te parę pierwszych dni zrozumiała, w jaki sposób Iwan stara się poznać świat swoimi własnymi oczyma, swoimi własnymi zmysłami, jak usiłuje wyodrębnić się ze starszego Rzewskiego, oddzielić gigantyczny skład doświadczeń i pamięci ojca od mikroskopijnego, ograniczonego do ścian laboratorium i kilku zaledwie twarzy doświadczenia własnego. On dlatego tak na mnie czeka i tak lubi ze mną rozmawiać — myślała Ninka — bo przynoszę mu okruszyny, strzępki życia, które nie mają nic wspólnego z Sergiuszem Rzewskim.

Krótko zadzwonił telefon. Rzewski prosił Ninę Gulińską, aby na chwilę do niego wpadła.

— Momencik — powiedziała Ninka wycierając usta. — Zaraz przyjdę.

Iwan popatrzył za nią. Z zazdrością? Śmieszne... Ninka pędziła korytarzem i zastanawiała się, dlaczego już nie boi się Sergiusza Rzewskiego, chociaż dzieli ich taka różnica wieku i w ogóle. Alewicz boi się dyrektora, Opanasienko też czasem się go boi, a ona nie. Może dlatego, że z nim wtedy porozmawiała, a może strach skończył się wówczas, gdy przestała być panienką na posyłki i zaczęła uczestniczyć w Wielkim Eksperymentie?

Na korytarzu stała matka z nieznanym mężczyzną, paliła i śmiała się cicho, choć dość nerwowo. Matka lubiła, kiedy mężczyźni zwracali na nią uwagę, utrzymywała, że mężczyźni są bez porównania bardziej interesujący od kobiet, ale prawdziwych wielbicieli nie miała — może dlatego, że ich w gruncie rzeczy nie potrzebowała, a może też oni bali się jej zaborczości. Matka na widok Ninki natychmiast porzuciła rozmówcę.

— Nina, co ty tutaj robisz?

Ninka od razu domyśliła się, że matka zaczęła się na nią, a tego nieznanego mężczyznę upolowała sobie po prostu w charakterze alibi.

— Wezwał mnie Sergiusz Andriejewicz. A ty?

— Ja? Palę papierosa.

— Normalnie palisz na drugim piętrze — zauważyła Ninka.

— Nie pytam cię, gdzie mi wolno palić. Rozpuściłaś się jak dziadowski bicz. Po co cię Sierioża wzywa?

Aha, mamusia postanowiła tym słowem odebrać jej Rzewskiego. Nic z tego...

— Mamo, zrozum — powiedziała czule Ninka. — Prowadzimy wspólnie doświadczenie, więc musimy omawiać różne sprawy. To przecież oczywiste!

— Ach tak! — powiedziała matka ironicznie i wypuściła kłęb dymu, po czym gestem światowej damy strzepnęła popiół. — Smarkula bez wyższego wykształcenia w charakterze prawej ręki Rzewskiego! Romansujesz z nim?

— Mamo! — Ninka zaczerwieniła się jak piwonia. Romansowała z Sergiuszem Rzewskim, chociaż on tego w ogóle nie zauważał, i zaczynała romansować z Iwanem Rzewskim, czego z kolei ona sama jeszcze się nie domyślała. To znaczy była w dwójnasób winna, schwytała na gorącym uczynku i zdemaskowana. Okropnie ją to zezłościło, więc popędziła przed siebie korytarzem jak oparzona.

Elza roześmiała się cicho i wyrzuciła ledwie zaczętego papierosa przez lufcik. Nie chciała klócić się z córką, chciała po prostu dostać się do laboratorium, popatrzeć na tego Iwana. I to wcale nie dlatego, że znajoma modelka, którą spotkała wczoraj wieczorem na przyjęciu u Siemio—nowów powiedziała: „Pracujesz w Instytucie i ani razu nie widziałas jeszcze tego potwora?” Nie, chodziło o to, że Iwan Rzewski był podobno kopią młodego Sergiusza. Nikt jednak, poza nią, Elzą, nie mógł tego potwierdzić. Ona była jedyną osobą z Instytutu, która знаła

Sergiusza Rzewskiego w młodości. Chciała poprosić Ninke, a ten paskudny bachor wszystko zepsuł.

Ale jeszcze nie wszystko stracone. Elza rozejrzała się. Korytarz był pusty.

Doszła do zamykających korytarz drzwi opatrzonych skromną czarną tabliczką. „Laboratorium nr 1”. Jeśli wejdzie, to nikt się nie zdziwi, wszyscy przecież wiedzą, że tam pracuje jej córka. Może Elza Aleksandrowna, kierowniczką biblioteki, chce coś dziecku przekazać?

Elza podeszła do drzwi i znieruchomiała na chwilę, żeby nabrać odwagi i otworzyć je szybkim, zdecydowanym ruchem, jak to robi człowiek, który przyszedł w jakiejś konkretnej sprawie. Nacisnęła klamkę. Udało się! Ninki w dużym pokoju nie było.

Falejewa uniosła głowę i powiedziała:

— O, Elza Aleksandrowna! Dzień dobry. Ninka poleciała do dyrektora. Coś przekazać?

— Nie, dziękuję — odparła Elza. Powinna teraz wyjść, ale nie pozwalał jej na to wzrok zaczepiony o białe drzwi w przeciwległej ścianie.

— Kiedy wasz pacjent stanie na nogi? — zapytała Elza, wchodząc do pokoju i zamykając za sobą drzwi. Na minutkę.

— On już chodzi — odparła Falejewa — ale Sergiusz Andriejewicz nie pozwala mu jeszcze spacerować po całym gmachu.

— I słusznie — powiedziała Elza. — To przecież nie ogród zoologiczny... A czy wy się go nie boicie?

— Kogo? — zdziwiła się Falejewa. — Wani?

Co za głupi pomysł, pomyślała Elza, żeby nazwać sztucznego człowieka Wanią. Jak tresowanego niedźwiedzia.

Białe drzwi otworzyły się gwałtownie i szybkim krokiem wyszedł z nich Sierioża ubrany w granatowy dres z białymi lampasami. Za nim wyskoczyła tęga kobieta w białym fartuchu.

— Oszalałeś? — wrzasnęła na Sieriożę. — Co ja teraz powiem Rzewskiemu?...

Elza omal nie zwymiotowała. Ze strachu. Rzeczywiście była jedyną osobą w Instytucie, która mogła rozpoznać młodego Rzewskiego. A on zerknął na nią i przywitał się skinieniem głowy, jakby widzieli się nie dalej jak wczoraj. Wyglądał jakoś dziwnie. Dopiero po dłuższej chwili Elza zrozumiała, że był nieodpowiednio ostrzyżony. Sierioża nigdy nie strzygł się na jeża.

20

— Interesują mnie twoje wrażenia — powiedział Rzewski. — Jesteście niemal rówieśnikami, więc łatwiej ci go zrozumieć.

— Jestem starsza od niego — odparła Ninka — o całe osiemnaście lat.

— Naturalnie — usta Rzewskiego drgnęły w uśmiechu. — Ale pamiętaj, że on z kolei jest od ciebie starszy o pół wieku.

— Pewnie, że jest starszy. I w żaden sposób nie może z samym sobą dojść do ładu.

— A próbuje?

— Próbuje. Żyje w dwóch światach. Jeden mieści się w pokoju razem z nim, pielęgniarką Marią Stiepanową, mną... Drugim jest wielki świat pańskiej pamięci. Ten świat go przytłacza.

— Jak dalece mój świat jest dla niego realny? Mnie on o tym nie bardzo chce mówić.

— Nie wiem. Jeszcze nie do końca się obudził. — Ninka zmarszczyła brwi, bo była przekonana, że tak właśnie należy zachowywać się przy poważnej rozmowie.

— Słyszysz mnie w nim?

— Oj, nie wiem! Iwan oddał mi dzisiaj kurczaka.

— Słucham?

— Byłam głodna, więc dał mi swojego kurczaka.

— Sam bym tak zrobił trzydzieści lat temu... Inna rzecz, że wtedy z drobiem było gorzej.

Rzewski otworzył teczkę leżącą na stole i wyjął z niej plik fotografii. Fotografie były stare, co widać po ubraniach, przeważnie amatorskie, i na każdej fotograf chciał zmieścić przynajmniej pięćdziesiąt osób.

— Popatrz, tu z prawej strony jestem ja, w dziesiątej klasie. Podobny?

— Do kogo? — zapytała Ninka.

— A więc nie rozpoznałaś... Aha, tu mamy już zdjęcia studenckie.

— Tak, to on — powiedziała Ninka takim tonem, jakby rozpoznawała sprawcę zbrodni w albumie przestępców. Wzięła następną fotografię i rozpoznała na niej trzy znajome osoby. Swoich rodziców w młodości i równie młodego Sergiusza Andriejewicza. Na zdjęciu była jeszcze jedna młoda dziewczyna z grubym warkoczem przerzuconym na pierś i trzyletnia może, kędzierzawa dziewczynka, którą matka trzymała na ręku.

Rzewski dostrzegł zdziwienie w oczach Ninki i powiedział:

— Mylisz się, to nie jest twoja starsza siostra. To córka tej tutaj. — Wskazał dziewczynę z grubym warkoczem. Wziął fotografie, chciał je schować, zawahał się i zapytał: — Mamę rozpoznałaś od razu?

— Matka niewiele się zmieniła — odpowiedziała Ninka. — Nadal lubi niańczyć się z cudzymi dziećmi. Jeśli naturalnie wie, że nie potrwa to dłużej niż parę minut.

— Ależ ty masz języczek! — powiedział Rzewski.

Telefon na biurku pisnął preraźliwie. To był zielony, wewnętrzny telefon. Rzewski chwycił słuchawkę.

— Dlaczego nie zawiadomiliście mnie od razu? Idę. — Odrzucił słuchawkę ze złością i powiedział do Ninki: — Iwan wyszedł. Nie dopilnowali.

— Dokąd wyszedł?

— A diabli go wiedzą! Maria Stiepanowna pobiegła za nim. Jak tak można! Przecież go prosiłem... Na klucz go miałem zamykać, czy co?

21

Odnaleźli Iwana w wiwarium. Stał przed klatką Lwa, który z taką uwagą przyglądał się gościowi, jakby już go kiedyś widział. Maks, na którego nie zwracali uwagi, biegał po swojej klatce i warczał, a Maria Stiepanowna stała zgnębiona przy drzwiach.

— Nie powinieneś jeszcze wychodzić — powiedział Rzewski od progu.

— Dzień dobry — powiedział Iwan.

— Dlaczego mnie nie uprzedziłeś?

— Znam Instytut jak własną kieszeń — odpadł Iwan. — Nie gorzej od ciebie. To nie moja wina, że pamiętam nawet to, co ty sam zapomniałeś.

— Co mianowicie? — zapytał Rzewski.

— Nieważne. Pamięć genetyczna to na razie absolutna czarna magia, nawet dla nas. Załóżmy, że będzie to temat mojej pracy habilitacyjnej.

Ninka stała o krok z tyłu i odnotowywała różnice między nimi. Na przykład odrobinę wyższy i ostrzejszy głos Iwana.

— Poczekaj — powiedział nagle Rzewski. — Dawaj rękę! Puls! Iwan wyciągnął rękę. Lew, który to zobaczył, wysunął łapę przez kratę. Też chciał, żeby mu sprawdzono puls.

— Dlaczego masz takie tętno? — zapytał Sergiusz Andriejewicz. — Jak się czujesz?

— Masz rację — powiedział Iwan. — Wróć do pokoju. W głowie mi się kręci. Zrobiliście mnie z wybrakowanych materiałów, nawtykaliście jakiegoś szmelcu...

— Materiał jest dokładnie taki sam, jak w nas wszystkich — odparł Sergiusz. — Według przepisów natury.

Na korytarzu spotkali kilku pracowników. Ponieważ jeszcze mało kto w Instytucie widział Iwana, ludzie zatrzymywali się i gapili. Ktoś otworzył drzwi i krzyknął:

— Siemieniuchin, chodź tu szybko! Popatrz!

Ninka poczuła nagle, że Iwanowi zrobiło się przykro, bo przyspieszył kroku i niemal odepchnął podtrzymującego go pod ramię ojca.

22

Iwan dostał gorączki, zawrotów głowy i mdłości. Chwilami tracił przytomność i ledwie zdawał sobie sprawę z tego, że przyjeżdżał jakiś profesor, że pobierano mu krew do analizy, że ciągle wchodzili i wychodzili jacyś ludzie. Czuł się straszliwie zmęczony i już nie chciał niczego wspominać.

Przyśnił mu się sen, długi i powikłany. Miał cztery lata i mocno trzymał za rękę mamy, bo bał się trzmiela, który przyleci i go zabierze. Nie wiedział, co to jest trzmiel, ale bał się go okropnie i gdy zobaczył parowóz, zaczął wyrwać rękę i chciał uciekać. Ale matka trzymała mocno. Podniósł oczy i zobaczył, że to nie matka, tylko Liza trzyma go mocno za rękę, żeby go straszliwy trzmiel nie porwał...

Obudził się i leżał z zamkniętymi oczami. Nie otwierał ich, gdyż wiedział, że ludzie przestają rozmawiać przy nim o zwyczajnych rzeczach, jakby były dla niego zakazane. Wprawdzie ta chytrość nie na wiele się zdawała, bo przyrządy go natychmiast zdradzały, ale próbował. Tym razem jednak nikt widocznie nie spojrzał na wskaźniki i udało mu się podsłuchać rozmowę. Maria Stiepanowna rozmawiała szeptem z jakąś drugą nieznaną siostrą.

— On ma martwe, stare oczy — szemrała Maria Stiepanowna. — W życiu miałam miliony pacjentów, ale takich oczu jeszcze nigdy nie widziałam.

— Skąd on wszystko wie? To prawda, że został skopiovany?

— Nie mam pojęcia — odpowiedziała Maria Stiepanowna. — Kiedy mnie tu przenieśli, on już był gotowy.

— Można się z nim dogadać?

— Można, chociaż czasami gada od rzeczy. Z początku uważał się za dyrektora, Sergiusza Andriejewicza.

— Co to będzie, mój Boże, co to będzie!.. — wyszeptła rozmówczyni Marii Stiepanowny.

Iwan ostrożnie uniósł powieki. W pokoju paliła się tylko jedna nocna lampka, technik drzemał w fotelu, dwie pielęgniarki siedziały obok siebie na kanapie. Było cicho, spokojnie i rozmowa kobiet zdawała się go zupełnie nie dotyczyć.

— I nie boisz się go? — spytała nieznaną siostrą.

— Skąd! On jest zupełnie nieagresywny. Czuję to, bo niejednego pooperacyjnego pacjenta w życiu widziałam. Ale te oczy... Boję się, że on długo nie pożyje...

Niby dlaczego? Czyżby naprawdę we mnie było coś nieprawdziwego, nie dorobionego? Zbyt kruche naczynia krwionośne albo nie takie jak trzeba erytrocyty? Iwan mimo woli wsłuchał się w pracę serca. Serce zaczęło bić nierówno... Nerwy w każdym razie działają, pomyślał.

— Może to i lepiej — powiedziała nieznajoma siostra — że on się nie udał. Bo inaczej zaczęliby sztancować ludzi na pęczki. Do najrozmaitszych celów...

— Nie — powiedział Iwan. — Zrobienie mnie to bardzo kosztowna przyjemność. Jestem znacznie droższy niż pułk żołnierzy wyprodukowanych zwyczajnym sposobem.

— Ojej! — wykrzyknęła z przestachem Maria Stiepanowna.

23

Ponownie Iwan obudził się nad ranem. Coś było nie w porządku... Śnieg niesiony gwałtownym wiatrem łomotał w szyby. Nie wiedzieć czemu wydawało się, że obok cichutko śpi Liza, nawet we śnie nie chce mu przeszkadzać. Wyciągnął rękę, żeby dotknąć jej ramienia i zrozumiał, że to nie jego pamięć! Potrząsnął głową i stracił poduszkę na ziemię. Maria Stiepanowna poruszyła się na kanapie, mruknęła coś przez sen, ale się nie obudziła.

Zupełnie już oprzytomniały Iwan zaczął wsłuchiwać się w odgłosy nocnego życia Instytutu i znowu poczuł, że coś jest nie w porządku... Ostrożnie spuścił nogi na podłogę, podszedł na bosaka do drzwi. Nacisnął klamkę.

W przedsionku było ciemno. Odszukał wyłącznik, zamknął za sobą drzwi i zapalił światło. Stanął przez chwilę oślepiony, wsłuchując się w niewyraźne hałasy dobiegające przez kilka ścian. Potem wydostał się na korytarz i tak jak stał, w samych tylko kąpielówkach, pobiegł prosto przed siebie. Zza drzwi pokoju, w którym mieszkały szympansy, dobiegały odgłosy jakiejś szamotaniny i stuki. Pokój był zamknięty. Iwan pochylił się i zajrzał do środka przez dziurkę od klucza. Maks miotał się po klatce słabo oświetlonej żarówką zawieszoną pod sufitem, trząsł prętami kraty. Potem wyczuł, że za drzwiami ktoś stoi, i zaczął pokrzykiwać i mamrotać, jakby w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć potrzebnych słów.

— Co się tam u was stało? — zapytał Iwan półgłosem.

Maks usłyszał i załomotał dłońmi w podłogę, odrywając je gwałtownie, jakby podłoga była rozżarzana.

— Na dole? — zapytał Iwan. Maks podskoczył i ryknął.

Iwan przykucnął i dotknął dłonią podłogi. Wydawała się lekko ciepła. Podeszwy stóp tego nie wyczuwały, ale skóra na rękach była delikatniejsza.

Zaraz potem usłyszał wycie psów. Psy często wyły po nocach, ale teraz w ich wyciu był strach.

Zerwał się i podbiegł do drzwi piwnicy. Szarpnął je i w twarz buchnął mu kłęb pary. Dolne stopnie schodów były pokryte wodą, a lampy pod sufitem ledwie tliły się w białej wacie... Przerażliwy skowyt zagłuszał syk i plusk wody. Widocznie psy rozumiały, że ktoś przyszedł.

Iwan wszedł do wody. Była gorąca, ale dawała się wytrzymać. Gdzieś w połowie długiej piwnicy zastawionej wzdłuż ścian klatkami z pękniętej rury tryskała gorąca woda i para.

Trzeba było zamknąć wodę, tylko czym? Biec na górę po pomoc? Iwan już miał to zrobić, ale psy zaczęły płakać ze strachu, że je zostawi. Zrozumiał, że najpierw trzeba wypuścić zwierzęta, bo zanim zjawi się pogotowie techniczne, psy zdążą się ugotować.

Zawrócił i przedzierając się przez sięgającą mu kolan parzącą wodę dwoma wielkimi krokami dotarł do pierwszej klatki. Otworzył ją i wielki pies omal go nie przewracając rzucił się w kierunku drzwi. Spróbował biec, ale było za głęboko, więc popłynął. Iwan podszedł do następnej klatki.

Klatek było mnóstwo i we wszystkich psy stały na tylnych łapach. Przy każdej klatce trzeba się było zatrzymać na jakieś dwie sekundy, zwolnić zasuwkę i otworzyć drzwiczki pokonując opór wody. Z piątej klatki nikt nie wyszedł — znajdował się w niej malutki piesek, który ledwie utrzymywał łepkę nad wodą — trzeba było zatem wsunąć rękę do środka i wydobyć zwierzątko, tracąc drogie sekundy. W dodatku oszalały ze strachu piesek ugryzł go w palec... Iwan rzucił go za siebie i ruszył dalej. Wydawało mu się, że z nóg zaczyna mu zślizgić się skóra, że straci przytomność i upadnie w coraz głębszą, w coraz gorętszą wodę, ale nie zważał na to i otwierał, otwierał, otwierał coraz to nowe klatki...

Sam nie wiedział, jak znalazł się znów na korytarzu, przeraźliwie zimnym i suchym. Oprzytomniał, gdy potknął się o rozciągniętego na posadzce psa, który wylizywał sobie poparzone łapy. Zatrzymał się, wdychając chłodne powietrze. Trzeba zadzwonić po pogotowie techniczne, a może pójść do Marii Stiepanowny, żeby opatrzyła mu oparzenia. Co najpierw? Wszedł na schody i powłókł się do gabinetu Rzewskiego, chociaż bliżej było do wartownika. Nogi potwornie bolały, ale jeszcze go słuchały. Minął biurko Leny i stwierdził, że drzwi do gabinetu są zamknięte. Wyważył je ramieniem, starając się nie zrobić przy tym krzywdy jakiemuś zdychającemu psiakowi, którego wciąż jeszcze trzymał na rękach.

Iwan podszedł do biurka Rzewskiego, położył psa na blacie, zapalił stojącą lampę i z trudem przysunął sobie telefon. Dopiero wtedy zobaczył swoją rękę, czerwoną i spuchniętą. Nie znał numeru pogotowia technicznego, ale musiał do kogoś zadzwonić. Do Rzewskiego? Nie, on nie pomoże. Ktoś jednak musi odpowiadać za takie rzeczy... Wykręcił domowy numer Alewicza.

Telefonu długo nikt nie odbierał. Nic dziwnego, czwarta nad ranem.

— Słucham — rozległ się wreszcie rozespany głos Alewicza.

— Dymitrze Borysowiczu — powiedział Iwan — przepraszam, że pana obudziłem. Tu Rzewski...

Alewicz od razu zrozumiał, że stało się coś złego, Głos dyrektora był mocno zmieniony. A poza tym telefon o czwartej rano...

— Słucham. Co się stało? Coś z Iwanem?

— Czy nie może pan... wezwać pogotowia technicznego? Pękła rura centralnego ogrzewania... Zatopiło wiwarium...

— Mój Boże — westchnął z ulgą Alewicz — a ja już myślałem...

— Chwileczkę — powiedział Iwan. — Proszę też wezwać pogotowie... Zapomniałem numeru.

— Weterynaryjne? — zapytał niemal pogodnie Alewicz.

— Nie, ratunkowe... Dla mnie — powiedział Iwan i upuścił słuchawkę.

Z korytarza dobiegał tętent kroków: Maria Stiepanowna szukała po całym gmachu swojego pacjenta...

24

— Teraz jeszcze bardziej różnisz się od Sergiusza Andriejewicza — powiedziała Ninka. — W dodatku płynie w tobie moja krew.

— Dziękuję — odparł Iwan. Siedzieli na ławeczce w ogrodzie Instytutu. — Chociaż chwilami wołałbym, żeby mnie nie ratowano.

Iwan poprawił oparte o ławkę kule i sięgnął po papierosa.

— Dlaczego on ci pozwala palić?

— Pewnie dlatego, że sam pali — odpowiedział Iwan.

— Przecież jeszcze nie zdążyłeś się przyzwyczaić!

— Ale tkwi we mnie pamięć o paleniu, jego pamięć, i nic na to nie mogę poradzić...

— No dobra, pal sobie — zgodziła się łaskawie Ninka. — To znaczy, że odziedziczyłeś jego złe przyzwyczajenia?

Iwan zdawał się nie słyszeć pytania. Zamyślił się i dopiero po dłuższej chwili zapytał ni z tego, ni z owego:

— A co o tym wszystkim mówili u ciebie w domu?

— Matka powiedziała, że to do ciebie niepodobne, że zawsze się oszczędzałeś.

— Nieprawda — obraził się Iwan za Rzewskiego. — Przecież ona doskonale wie, że to nieprawda... Ojciec naturalnie milczał. A babcia?

— Babcia jest racjonalistką. Tylko ostatni idiota, powiedziała, mógł się poświęcać dla jakichś parszywych psów, które i tak pójdą pod nóż. Wiadomo przecież, że w Instytucie wszystkie psy się zabija...

— Nie wszystkie — powiedział Iwan.

— Ja wiem... A właściwie dlaczego to zrobiłeś? Wszyscy mówią, że rozsądniej byłoby wezwać hydraulików.

— Oczywiście, że rozsądniej, ale przecież ja też jestem zwierzęciem doświadczalnym, a swoim trzeba pomagać...

— Głupstwa gadasz! — oburzyła się Ninka. — Teraz już nikt cię tak nie traktuje. Zwłaszcza ci, którzy oddawali dla ciebie krew. Aż dziw bierze, ilu ludzi chciało ci oddać swoją krew.

— Twoją wyraźnie czuję — powiedział Iwan. — To dlatego mam ochotę biegać, tylko te kule trochę mi na razie przeszkadzają... Ale wracając do twojego pytania, najbardziej zawinił tu Sergiusz. Zdawało mi się, że to mój Instytut i moje psy...

— Ładny gips, ty się tam żywcem gotowałeś, a on tymczasem spokojnie spał w domu!

25

Iwan odłożył „Scientific American” — na stoliku koło łóżka leżała sterta czasopism, które ojciec przynosi co rano jakby w nadziei, że część wiedzy przyswojonej przez Iwana przejdzie na niego. Pismo ześlizgnęło się na podłogę, bo ręce nie zdążyły go przytrzymać. Ręce były już bez bandaży, ale nadal trochę bolały. Pokrywające je różowe plamy cieszyły, bo ojciec takich plam nie miał. Ojciec nigdy niczego podobnego nie zrobił, pomyślał Iwan z dumą. Kiedy wczoraj rozmawiałem z Ninką (wiele osób z Instytutu jest przekonanych, że mamy się zdecydowanie ku sobie, bo zapominają, o ile jestem starszy od tej niegłupiej smarkuli), nie powiedziałem jej o tym.

Jemu przecież też niewiele się mówi. Na przykład tego, że jego organizm okazał się słabszy niż przypuszczano... „Normalny człowiek po takim oparzeniu nie wymagałby reanimacji” — usłyszał przypadkiem... To znaczy, że on jest nienormalny?

Pewnie tak. Jego sny, długie i pełne szczegółów koszmary, były raczej czymś na kształt wspomnień. Cudza pamięć starannie wyławiała z przeszłości sytuacje stresowe, to, co najsilniej odbiło się w mózgu Sergiusza Rzewskiego. Iwan przypuszczał, że odziedziczył dwa rodzaje wspomnień — trzeźwe i powszednie oraz podświadome, niekontrolowane. Sergiusz, podobnie jak każdy inny człowiek, przykre wspomnienia chował w głębokich zakamarkach mózgu, żeby nie leżały na wierzchu i nie przeszkadzały mu żyć. Mózg Iwana odbierał te otorbione wspomnienia jak coś szczególnie dokuczliwego, traktował jak boleśnie uwierające obce ciało. Na jawie jeszcze sobie z nimi radził, ale we śnie wyzwolona podświadomość rysowała Iwanowi obrazy cudzej

przeszłości, w których każdy szczegół był dokładnie oddany i tak jaskrawo oświetlony, że nie sposób było przed nimi uciec.

Rano, czekając na zastrzyk przeciwbólowy, Iwan ponownie „ogładał” te filmy z cudzej przeszłości. Odtwarzał, o czym Sergiusz nie miał pojęcia, wszystko to, co w jego pamięci zachowało się z obcego dzieciństwa, układał te fakty w porządku chronologicznym. Miał siedem lat, kiedy ojciec poszedł na wojnę. Ewakuowali się z Kurska pociągiem, który jechał bardzo długo, cały miesiąc. To żyje w pamięci Sergiusza w postaci jednego zdania z życiorysu: „Przed wojną mieszkaliśmy w Kursku, skąd zostaliśmy ewakuowani i spędziliśmy rok pod Kazaniem”. Iwan w swoim mózgu odszukał tylko pojedyncze obrazki, przy czym nie miał żadnej pewności, że są one uszeregowane tak samo, jak w mózgu ojca. Gdy tylko zaczynał tropić w sobie cudzą przeszłość, jako że innej przecież nie miał, natychmiast migawkowe obrazy i strzępy wspomnień zaczynały galopować, układać się w nowe konfiguracje. Dzięki temu syn mógł pełniej zrozumieć przeszłość ojca. Iwan zmuszał się do grzebania w pamięci Rżewskiego, bo w ten sposób poznawał samego siebie i w miarę sił siebie samego tworzył. Starał się przypomnieć każdy szczegół. Na przykład: jak właściwie wyjeżdżaliśmy z Kurska? To było chyba latem... Wagon pasażerski czy towarowy? Naturalnie towarowy! Pamięć usłużnie podsunęła obrazek: długi skład wagonów towarowych stoi na wysokim nasypie pośrodku stepu, a on chyba z matką i jakąś dziewczynką odszedł daleko od pociągu, bo chciał nazbierać kwiatków, a pociąg miał stać jeszcze długo. Potem jednak dobiega gwizdek parowozu i wagony, takie malutkie z daleka, wolniutko ruszają...

W nocy Iwan jest już na to przygotowany, już na to czeka, jak na nieuchronne zastrzyki i opatrunki, wie, że wspomnienie zrekonstruowane w ciągu dnia powróci w postaci sennego koszmaru pełnego szczegółów tego, co się kiedyś wydarzyło i zostało zapomniane. Znowu zatem będzie biegł ku malutkiemu pociągowi ciągnącemu się wzdłuż linii horyzontu, ale tym razem zobaczy, że matka wzięła na ręce płaczącą obcą dziewczynkę. Przypomni sobie, jak bardzo się wtedy bał, jak wściekle szarpał dziewczynkę za nogę i jak krzyczał do matki: „Rzuć ją, rzuć!”... Przecież to była Jego Matka i powinna ratować właśnie jego... Potem, ocknąwszy się z koszmaru i uwierzywszy, że w życiu było tak, jak w tym koszmarze, zaczął podziwiać matkę, która lękała się zostać gdzieś w pustym nadwołżańskim stepie, ale jednak pamiętała, że jej siedmioletni syn może biec sam, a cudza mała dziewczynka do pociągu nie dobiegnie... Matka umarła jednak już ponad sześć lat temu i Sergiusz wezwany depeszą zdążył dopiero na jej pogrzeb. A on, Iwan, nigdy nie miał matki, podziwiał więc obcą mu właściwie kobietę, która nigdy nie dopędzała z nim ruszającego pociągu i nigdy nie odganiała od niego okropnego trzmiela. I mimo to jest jej teraz bliższy niż Sergiusz, który nigdy nie widział we śnie tego koszmaru, ukrytego głęboko w jego mózgu.

26

— Durzysz się w nim, co bardzo mnie niepokoi — powiedziała matka.

Oglądały w telewizji jakiś nudny kryminał. Ninka miała ciężki dzień i tak się naharowała, że teraz nie miała siły wojować z matką.

— Przedtem mówiłaś, że romansuję z Sergiuszem Andriejewiczem — powiedziała Ninka — a teraz wpierasz mi jego syna.

Babcia siedziała w fotelu pod lampą i czytała wspomnienia o Tolstoju, komentując z niesmakiem jego stosunki rodzinne. Czytała wyłącznie wspomnienia o wielkich ludziach, chociaż żadnego z nich nie znała ani nawet nie widziała.

Trzeba iść spać, pomyślała Ninka, bo robi się późno, a znów mam od rana dyżur w Instytucie. Maria Stiepanowna zachorowała, Falejewa też złapała grypę, a ktoś przecież musi przepisać na maszynie to okropne sprawozdanie.

— Romans ze sztucznym człowiekiem jest jeszcze gorszy — powiedziała pouczającym tonem matka — bo przeciwny naturze.

— Mamo, znowu zaczynasz?

— I ta próba samobójstwa we wrzątku! Czy ty nie widzisz, że tkwi w nim jakiś pierwiastek destrukcji?

Trzeba było wstać i iść do swojego pokoju. Bez herbaty, ale to nie pierwszyna.

Ścianka działowa była cienka, więc Ninka słyszała wyraźnie rozmowę toczącą się w dużym pokoju.

— To zupełnie obcy człowiek! — powiedziała babcia. — Straciłaś dziecko.

— A przecież żyły sobie dla niej wypruwałam — zauważyła matka. — Odejmo wałam sobie od ust ostatni kawałek chleba...

— No, nie przesadzaj. Zresztą w jej wieku latałaś po Moskwie jak kot z pęcherzem. Zapomniałaś? — zapytała babcia.

— Ciszej.

— Pamiętasz, jak do ciebie przyjeżdżał ten... Berg?

— Borg.

— Poważny mężczyzna, z samochodem, na stanowisku... Miał chyba ponad czterdzieści lat. Co się z nim teraz dzieje?

— Pewnie umarł ze starości.

Ninka poszła się myć. Kiedy wróciła i rozścieliła swój tapczanik, rozmowa za ścianą jeszcze trwała.

— Zaskoczył cię? — zapytała babcia.

— Dosłownie oszołomił. — Matka mówiła półgłosem, mając nadzieję, że w ten sposób Ninka jej nie usłyszy. — Kopia, po prostu kopia. Aż się przestraszyłam.

— Zastanów się, dlaczego. — Babcia uczyła kiedyś w szkole i przywykła mówić pouczającym tonem.

— Zrozumiałam, jak bardzo się zestarzałam.

— Kłamiesz — powiedziała babcia i Nince wydało się, że widzi jej ironiczny uśmiezek. — Nigdy nie potrafiłaś być szczerą.

— A co tu jeszcze można powiedzieć?

— Robisz własnej córce sceny zazdrości o tego potwora — powiedziała babcia. — Pewnie lataś jak głupia do tego laboratorium i podglądasz, co?

— Nigdy go nie kochałam.

— No to już lepiej sobie poczytam — powiedziała babcia.

— Nie wierzysz mi?

— Nie wierzę. Nie przeszkadzaj mi czytać.

— To ty chciałaś, żebym wyszła za niego za męża.

— Też mi konkurent! Dopiero po studiach, bez własnego kąta, bez pieniędzy, bez perspektyw. Niestety pomyliłam się. Inaczej by się nam nie wyrwał.

Zamilkły. Ninka zaczęła już drzemać, gdy przez sen usłyszała słowa babci:

— Jak ten czas leci... — Zabrzmiało to jak zaproszenie do rozmowy. Znów nastąpiła pauza i dopiero po dłuższej chwili matka powiedziała:

— Tak dziwnie na mnie popatrzył, że...

— Młody?

- Tak, Iwan. Może on wszystko pamięta?
- Boisz się?
- Jakbym zapadała się w jakąś ogromną dziurę...
- Ale Sergiusz...
- Sergiusz wszystko szczęśliwie zapomniał. Tak łatwiej żyć.
- Nie mogę sobie wyobrazić, jak człowiek może żyć z cudzą pamięcią.
- A jeśli tak jest, to do czego to doprowadzi? Jakie myśli ulegną się w jego chorym, nienormalnym mózgu?

Trzasnęły drzwi, w przedpokoju rozległ się przytłumiony rumor. Ojciec znów wrócił pod dobrą datą.

27

Sergiusz wpadł rano, zapytał, co słysząc i przypomniał, że jutro rano jest komisja. Zostawił nowe pisma i powiedział, że przyjdzie później. Wzrok miał pytający i niepewny. Zachowuje się tak, pomyślał Iwan, jakby czymś wobec mnie zawinił. Znam jego myśli, jego marzenia o nieśmiertelności, jego teorię sztafety naukowej. Wszystko to tkwi w mojej pamięci, ale dzisiejszego Sergiusza Andriejewicza Rzewskiego w niej nie ma. Wystartowaliśmy z jednego punktu, a teraz rozbiegamy się w różne strony.

Poprzedniego dnia Iwan znów spotkał Elzę.

Myślał, jak ta kobieta kurczowo usiłuje trzymać się młodości, jakby wszystko jeszcze było przed nią, jakby już jutro miał zjawić się książę z bajki, który zabierze ją do obcych krajów. Nawet z Wiktorem żyje jak na dworcu kolejowym między przesiadkami... Odpędził ze złością te myśli. Zawsze je odpędzał, gdy tylko zdawał sobie sprawę z tego, że myśli za ojca.

Poszedł na obiad do instytutowej stołówki, na co zgodę uzyskał dopiero po długich bojach. Sergiusz ustąpił dopiero wówczas, gdy mu powiedział: „Ojczy, jeśli wsadziłeś we mnie swój własny mózg, to jeszcze nie znaczy, że ja nie potrafię zatroszczyć się nawet o swój żołądek”.

Elza Borisowna, przez przyjaciół zwana Elloczką, wielki generał, który wygrał wszystkie bitwy, ale przegrał generalną batalię, siedziała przy sąsiednim stoliku i starała się nie patrzeć na Iwana. W stołówce było pustawo, gdyż przerwa obiadowa właściwie się jeszcze nie rozpoczęła.

Iwan miał wielką ochotę podokuczać tej udającej podlotka kobiecie, której Sergiusz i on nigdy nie lubili.

Elza odwraca się. Jest zazdrosna o własną młodość. No to zobaczymy, czy jesteś odporna... Z boku wygląda to trochę dziwnie, gdy duma Instytutu, pierwszy na świecie sztuczny człowiek, zajada stołkowi gulasz i świdruje wzrokiem kierowniczkę zakładowej biblioteki, ale skutek jest niewątpliwy. Elza wprawdzie starała się nie reagować na o natręctwo, ale poruszała nerwowo palcami, bez potrzeby przestawia szklankę z kompotem, zaczęła coś bardzo szybko i bardzo wesoło opowiadać siedzącej tyłem do Iwana kobiecie, aż wreszcie zerwała się gwałtownie z miejsca i wybiegła ze stołówki.

Kiedy po kilku minutach Iwan też wyszedł, Elza stała na podeście klatki schodowej i nerwowo zaciągała się papierosem. Gdy zrównał się z nią, zapytała:

- Pan chciał mi coś powiedzieć?
- Pani, Elzo Borisowno?
- Pan mnie zna?

Iwan też wyjął papierosy i zapalił nie odpowiadając na jej pytanie. Wówczas Elza zaczęła mówić szybkim, nieco piskliwym głosem:

— Pan mnie nie zna. Nigdy się nie spotkaliśmy. Nie wierzę Rzewskiemu i nie rozumiem, dlaczego pan mnie prześladowuje!

— Nie prześladowuję pani, Elzo — powiedział młodzieniec głosem Rzewskiego. — Znamy się od tak dawna, że nie musimy niczego udawać.

— A i tak nie wierzę — odparła z uporem Elza. — Ma pan zaledwie kilka miesięcy. Rzewski opowiedział panu o mnie, bo w ten sposób chciał zaspokoić swoją obłądną próżność. Możecie mydlić oczy stetryczałym dostojnikom, ale mnie na takie tanie gierki nie nabierzecie!

— Skoro tak pani sądzi, to zawsze można mnie sprawdzić — powiedział spokojnie Iwan.

— W jaki sposób?

— Proszę zapytać mnie o coś, czego poza panią i Rzewskim nikt nie może pamiętać.

— I okaże się, że on wszystko to panu opowiedział. To obrzydliwe! Człowiek może rozporządzać jedynie własnymi wspomnieniami, ale kiedy rozgłasza wspomnienia dotyczące również innych ludzi, to popełnia zdradę, staje się plotkarzem.

— Niech pani jednak spróbuje.

Elza skrzywiła się, ale nie odeszła. Powiedziała nieoczekiwanie:

— Płynęliśmy po rzece spacerowym stateczkiem. Latem. Było zimno, więc dałeś mi swoją marynarkę... Pamiętasz?... Pamięta pan?...

Wspomnienie leżało w jakimś zakamarku mózgu. Do tego momentu Iwan nie wiedział, że kiedyś pływał z Elzą stateczkiem po rzece. Nie było potrzeby tego wspominać.

— Miała pani na sobie niebieską sukienkę na wąskich ramiączkach. Stała pani powtarzała, że ma cudowne ramiona, że Borg się nimi zachwycał i obiecał nawet poprosić znajomego malarza, aby je uwiecznił.

— Borg?

— Naturalnie. Borg, mówiła pani, urządził na jej cześć cudowną kolację. To, co pani ubóstwia. Piliście szampana i zagryzaliście pestkami... Odparłem na to, że tak wyobrażają sobie wytworne życie jedynie panienki z Zadupia Dolnego. Przepraszam, ale sama pani mnie zapytała...

Elzy już nie było. Uciekała, jakby ją kto gonił. A on stał jak odrętwiały. Szczegóły tej wycieczki, o której Elza chciała zapomnieć, stawały mu przed oczami wyraźnie jak na ostrej fotografii. Wówczas na stateczku Elza przekonywała Sergiusza, że Liza nie jest go godna, że nigdy nie zdoła nawiązać z nią duchowego kontaktu, że Lizka pochodzi z drobnomieszczańskiej rodziny, że nie zdołała nawet zrobić matury i że wreszcie nikt przy zdrowych zmysłach nie żeni się z taką... co to z dobroci serca już od szesnastego roku życia nie potrafiła żadnemu odmówić...

— Aha, jesteś — powiedział Rzewski. — Właśnie sobie pomyślałem, że poszedłeś do stołówki... Mam w gabinecie trochę neski, napijesz się?

28

— Martwi mnie — powiedział Rzewski — że nasze stosunki układają się inaczej, niż to sobie wyobrażałem.

— A czego byś chciał? Żebym zastępował cię w tym gabinecie?

— Liczyłem, że z czasem do tego dojdzie.

— Mogę cię zastąpić choćby dzisiaj, ale rzecz w tym, że w żaden sposób nie możesz pogodzić się z faktem, iż jestem starszy od ciebie.

— Starszy? Sądziłem, że jesteśmy rówieśnikami.

— Ja szybciej się uczę, a to dlatego, że muszę sobie wywalczyć własną indywidualność. Ty ją już masz.

— Po co?

— Naprawdę nie wiesz? A co ty byś robił na moim miejscu? Jednakowo trzymali filiżanki i jednakowo pili kawę drobnymi łyżkami. Pewnie też jednakowo czuli jej smak...

— Poszedłbym dalej — powiedział Sergiusz. — Ruszyłbym dalej z punktu, w którym cię zostawiłem. Na tym polega sens ciebie, mnie, naszego wspólnego eksperymentu.

— Nie pytałeś mnie o zdanie, kiedy zaczynałeś go — zauważył Iwan. — Ja zaś odziedziczyłem również ujemne cechy twojego charakteru. Na przykład upór.

— Ten upór okropnie mi przeszkadzał w życiu — uśmiechnął się Rzewski.

— Ale i pomagał. Przecież ja wszystko pamiętam. Chyba nawet więcej niż ty.

— Dlaczego?

— To bardzo proste. Powiedz mi, jak była ubrana matka, twoja matka, kiedy w czterdziestym pierwszym roku omal nie uciekł wam pociąg.

— Co?

— Odpowiedz.

— Odeszliśmy daleko od pociągu... To było w stepie. Pociąg stał na nasypie. A my poszliśmy... bodajże zbierać kwiaty.

— Zgadza się! A pamiętasz małą dziewczynkę, którą matka wzięła na ręce, bo dzieciak nie mógł biec? Pamiętasz, jak złościłeś się na matkę i 'krzyczałeś, żeby ją rzuciła?

— Nie krzychałem nic takiego!

— Krzyczałeś, krzyczałeś. Jak była ubrana matka?

— Nie pamiętam. Przecież to było ponad czterdzieści lat temu!

— A ja pamiętam. Jak sądzisz, dlaczego?

— Dlaczego? — powtórzył pytanie Rzewski.

— A dlatego, że ja to nie ty. Dlatego, że dałeś mi swoje wspomnienia, ale nie dałeś poczucia identyfikacji z tobą. Dlatego, że te twoje wspomnienia nigdy nie były moimi i ja zdaję sobie z tego sprawę. Mogę więc w nich grzebać i przyglądać się im jak postronny obserwator. Kiedyś w dzieciństwie biegłeś za matką, która miała na sobie wypłowiały sarafan i sandały. Wydaje ci się, że na zawsze o tym zapomniałeś. Nieprawda, wcale nie zapomniałeś! Po prostu takie szczegóły przypomnieć mogę sobie tylko ja, bo chcę je sobie przypomnieć. W przeciwieństwie do ciebie... Myślisz, że to jest jedyna różnica między nami?

— O czymś jeszcze zapomniałem? — zapytał Rzewski z wymuszonym uśmiechem.

— Zapomniałeś o wielu rzeczach. Nawet ja jeszcze nie do wszystkich się dogrzebałem...

— Popelniasz błąd. Zamiast szukać punktów styčných, starasz się maksymalnie ode mnie oddalić.

— A czy pomyślałeś, że jestem jedynym na Ziemi człowiekiem bez dzieciństwa? Pamiętam, jak spacerowałem z matką po łące i jednocześnie wiem, że nigdy z matką po łące nie chodziłem. To ty z nią wtedy spacerowałeś, ty ukradłeś moje dzieciństwo, cynicznie mnie obrabowałeś i teraz siedzisz tutaj cały zadowolony, bo masz duchowego spadkobiercę, cudownego syna — młodego, przystojnego i do złudzenia przypominającego człowieka.

— Przecież jesteś człowiekiem. Najzwyklejszym w świecie człowiekiem.

— Kłamiesz! Nie jestem człowiekiem i nigdy nim nie będę, gdyż nie mam własnego życia. Jestem twoją nieudolną kopią, która musi za ciebie zajmować się twoimi sprawami, za ciebie użerać się z Elzą, która okropnie się boi, żeby nie zapamiętał z przeszłości więcej niż ty. Nie

rozumiesz tego i jeszcze się nie boisz, a ona już się przestraszyła. Pewnie ma lepszą intuicję lub silniej rozwinięty instynkt samozachowawczy.

— A niby czego ma się lękać? — Rzewski wstał i nalał sobie do filiżanki wrzątku z termosu przyniesionego przez Lenę. — Synu, chcesz jeszcze kawy?

— Daj spokój, Rzewski! Syna trzeba wychować, wstawać do niego po nocy i zmieniać pieluchy. Tworzyłeś nie syna, tylko samego siebie. Jeśli tak zależało ci na potomstwie, to dlaczego nie zaadoptowałeś Katieńki, dlaczego nie chciałeś mieć dzieci z Liza? A może Elza miała rację, mówiąc wówczas na statku, że Liza nie jest ciebie godna?

— Na jakim znów statku? A...

— Tak, tak! Sam wtoczyłeś we mnie swoją pamięć, a teraz jesteś z tego niezadowolony? Nie wiedziałeś, co cię czeka? Szympany niczego cię nie nauczyły? Rozumiem, miałem odziedziczyć wyłącznie twoje zamiłowanie do nauki!

Rzewski spurpurowiał, ale zdołał wziąć się w garść.

— Masz trochę racji... — powiedział. — Ale i mnie nie jest lekko. Czuję się tak, jakbym był przezroczysty, jakby można było zajrzeć mi do środka i zobaczyć to, czego ja sam nie chcę widzieć.

— Ja nie chcę nigdzie zaglądać, bo to mi nie daje spokojnie spać po nocach. Chciałbyś, żebym obalił twierdzenie Gordona i na serio zajął się matematyką? A ja myślę o Lizie.

— Myślałem, że po zakończeniu prac komisji przeniesiesz się do mnie. Mieszkam sam, mam dwa pokoje, więc nie przeszkadzalibyśmy sobie nawzajem...

— A teraz już nie jesteś pewien, że to był dobry pomysł. I masz rację. To naprawdę nie był dobry pomysł. Pozwól nam rozejść się... kulturalnie. Nie potrafię czuć się twoim synem, bo dając mi własną pamięć pozwoliłeś mi tym samym być twoim sędzią.

— Wrócimy jeszcze do tej rozmowy. — Rzewski powiedział to suchym tonem zwierzchnika, odprawiającego podwładnego, który mu się czymś naraził. Iwan parsknął śmiechem, a wtedy Sergiusz rąbnął pięścią w stół i wrzasnął: — Idź do diabła!

29

Ninka siedziała u Iwana, który odpytywał ją z chemii. Zbliżała się wiosna i była najwyższa pora pomyśleć o egzaminach na wyższą uczelnię. Potem okazało się, że Iwanowi skończyły się papierosy i Ninka zaoferowała się skoczyć po nie do sklepu. Iwan wstał.

— Mnie trochę świeżego powietrza też nie zaszkodzi — powiedział. Na dworze było sucho i dość mroźno. Śnieg pod nogami skrzypiał dźwięcznie i radośnie.

— No i nie pojeździliśmy na nartach — westchnął Iwan. — Zima się kończy, a my...

— Mogę ci przynieść narty z domu — powiedziała Ninka. — Chyba od dziesięciu lat nikt na nich nie jeździł.

Baraki już zostały rozebrane, ale teraz, kiedy drzewa stały gołe, ich brak nie był zbyt widoczny.

— Wiesz, że on kiedyś tu mieszkał? — zapytał Iwan.

— Tak, bardzo dawno temu.

— W trzecim baraku od rogu. Szkoda, że nie zdążyłem tam pójść.

— Dlaczego? Przecież walczysz z Rzewskim. Czasami jesteś przez to bardzo śmieszny.

— Nie wszystko jest dla mnie jasne. A kiedy nie wszystko rozumiem, wówczas zaczynam się zadrećcać.

— Oj, jakiś ty głupi! — wykrzyknęła Ninka. — Nawet ja rozumiem, że w życiu nic nie może być do końca jasne. Dawniej byłeś zupełnie inny, a teraz...

— A teraz co?

— Stałeś się zwyczajnym pracownikiem Instytutu.

— Niezupełnie zwyczajnym — skrzywił się w uśmiechu Iwan. — Zaprzyjaźniłeś się z robotem. A ze mną nie wolno się przyjaźnić, bo jestem potencjalnie niebezpieczny jak wszystko co nieznanne. Co będzie na przykład, jak jutro pęknie mi sprężyna?

— Nie ma obawy, nie pęknie — powiedziała Nina. — Przecież w zeszłym tygodniu cała komisja przejrzała ci każdą śrubkę.

— Bardzo się coś ta komisja krzywiła...

Ninka rozpedziła się i pojechała na butach po wyslizganym chodniku. Iwan po chwili wahania — za nią. Przy końcu zaimprovizowanej ślizgawki Ninka straciła równowagę i omal nie upadła w śnieg. Iwan chwycił ją i przytulił.

— Daj spokój — powiedziała dziewczyna. — Jeśli ktoś nas zobaczy, pomyśli sobie, że to w ramach eksperymentu.

— Naturalnie. — Iwan puścił Ninę. — Przecież wykonujesz specjalne zadanie dyrekcji.

Przez chwilę szli w milczeniu. Potem Ninka zapytała:

— A na czym polega tajemnica tego baraku?

— Tajemnica? Tak bym tego nie nazwał. Rzewski mieszkał tu kiedyś ze swoją narzeczoną Liza, która była przyjaciółką twojej matki. Młodszą przyjaciółką, że tak powiem. Razem chodziły do szkoły, ale potem twoja matka poszła na bibliotekoznawstwo, a Liza zakochała się w aktorze i uciekła z dziewiątej klasy do teatru, gdzie została charakterizatorką. Była lekkomyślna i wesoła, a twoja matka już wówczas myślała poważnie o życiu i słuchała Pawły Władysławy, która uważała, że przed ślubem całować się nie należy.

— To ty jesteś taki złośliwy czy może Rzewski?

— Złośliwości są moje własne, natomiast informacja jak zwykle cudza. Mam opowiadać dalej?

— Oczywiście, to bardzo ciekawe. W domu nigdy nic o tej Lizie nie mówią. Raz tylko podsłuchałam rozmowę, z której wynikało, że Rzewski tę Lizę zabił, ale to pewnie była przenośnia, prawda?

— Niezupełnie.

— Co ty mówisz! I ty to wszystko pamiętasz?

— Niestety, ja pamiętam wszystko — powiedział Iwan. — Ale w tym wypadku sprawa jest o wiele prostsza niż ci się wydaje.

Weszli do sklepu przy pętli autobusowej. Iwan kupił karton papierosów. Zabrakło mu trzydziestu kopiejek, więc Ninka mu pożyczyła. Na podstawie porozumienia z Akademią Iwana zatrudniono od pierwszego na stanowisku i z poborami asystenta, wychodząc z założenia, że nie wypada, aby młody i zdrowy mężczyzna nadal miał status królika doświadczalnego. Oczywiście z równym powodzeniem mógłby kierować samodzielnym laboratorium, ale zarówno Rzewski, jak i sam Iwan doskonale rozumieli, że na podobną łaskę ze strony Akademii nie ma co liczyć.

— Mów dalej — powiedziała Ninka, kiedy wyszli ze sklepu i zawrócili w stronę Instytutu.

— Elza ich poznała ze sobą. Sergiusz mieszkał w akademiku, a Liza w jednym pokoju z matką, bratem i co najważniejsze Katią. Katia to była jej córka, którą miała z tym aktorem, żonatym, dziecinnym...

— W jakim wieku była ta dziewczynka?

— Katia miała najwyżej ze trzy latka. Liza i Sergiusz pokochali się, a potem... Dopóki Liza była biedną i lekkomyślną przyjaciółką, twoja mama nosiła ją na rękach, wręcz ubóstwiała. Kiedy jednak okazało się, że Sergiusz wynajął pokój w jednym z tych baraków, że sprowadził się do

niego z Lizą i Katią, że poważnie myśli o wspólnym życiu z nimi, twoja matka znienawidziła Lizę...

— Nieprawda!

— Parę dni temu rozmawiałem z twoją matką. Chciała sprawdzić, czy pamiętam pewną rozmowę na temat Lizy.

— Miała nadzieję, że zapomniałeś?

— A ja to pamiętam lepiej niż Rzewski.

Weszli do Instytutu. Na korytarzu natknęli się na Gurinę, która prowadziła za łapę szympansa Lwa. Lew poznał Iwana i zrobił do niego przyjazną minę.

W laboratorium Ninka została w zewnętrznym pokoju, a Iwan, czując się głupio, że za wiele powiedział, poszedł do siebie. Jednak za pięć minut Ninka wpadła do jego pokoju.

— Dlaczego nie powiedziałeś, jak się to wszystko skończyło? Oszczędzasz mnie?

— Nie.

— No to opowiadaj!

— Dobrze. Zbliżał się koniec studiów i trzeba było pomyśleć o aspiranturze. Mieszkali ze sobą już ponad pół roku. Rzewski stał w kolejkach po mleko dla Kati i pracował nocami, kiedy dziecko zasypiało. Liza gotowała mu, prała bieliznę i była z tym absolutnie szczęśliwa, nie widząc zupełnie, że Sergiusz jest u kresu wytrzymałości. Nic dziwnego, ten smarkacz miał na głowie ostatni rok studiów, pracę dyplomową i w dodatku musiał utrzymać rodzinę...

Ninka skinęła głową. Wyjęła z paczki papierosa, chciała zapalić, ale Iwan zabrał jej papierosa.

— Jednym słowem Rzewski był śmiertelnie zmęczony. Już nie smakowały mu postne zupy, które Liza gotowała bez mięsa, bo na mięso nie starczało pieniędzy, chociaż ona sama chodziła co drugi dzień do pracy w fabryce, już miał dość tych właśnie dni, kiedy musiał sam zostawać w domu z dziewczynką, miał dość wszystkiego. Chciał zostać sam — bez Lizy, bez Kati, bez ludzi. Czuł, że przegrał życie, że nigdy już nie zostanie uczonym, i dlatego był ciągle zły i niesprawiedliwy wobec Lizy.

— Potrafię go zrozumieć — powiedziała Ninka. — Liza też powinna zrozumieć, na co go skazała.

— Nic nie rozumiesz — mruknął Iwan. — Co Liza mogła zrobić? Uciszała Katię, kiedy tatuś Sierioża pracował, i miała nadzieję, że wszystko jakoś się ułoży. Sierioża rozpocznie aspiranturę, dostanie mieszkanie i wtedy będzie dobrze. A Sierioża zaczął wymykać się z domu i w tajemnicy przed Lizą spotykał się z twoją matką. Ona go przecież rozumiała, a Liza nie!

— Można bez komentarzy? — poprosiła Ninka.

— I tak to się skończyło. Twój ulubiony Rzewski oświadczył Lizie, że razem ze swoją córeczką złamała mu życie.

— Tak ni z tego, ni z owego?

— No nie. Powiedziano mu, że jego oblicze moralne, inaczej mówiąc jego związek z Lizą, zamyka przed nim drogę do aspirantury. W owych czasach to mogła być przeszkoda.

— Dlaczego? — zdumiała się Ninka.

— Nieważne... Sergiusz chciał zapomnieć o tej rozmowie i zapomniał. A Liza wyprowadziła się z domu.

— Dokąd?

— Wyjechała z Moskwy i nie zostawiła adresu.

— Ale przecież mógł ją odnaleźć, pójść do jej matki...

— Z początku poczuł wielką ulgę, a potem zaczął tęsknić. Poszedł do matki Lizy, która jednak nie chciała z nim nawet rozmawiać. Mniej więcej w tym samym czasie Elza dowiedziała się skądś, że Liza wróciła do aktora. To nie była prawda.

- Matka sama to wymyśliła?
- Nie wiem. A po dalszych paru latach Sergiusz spotkał brata Lizy, który powiedział mu, że aktor nie miał z tym nic wspólnego, że Liza wyjechała do Wołogdy i tam wpadła pod pociąg.
- Rzuciła się pod pociąg jak Anna Karenina?
- To mógł być zwykły wypadek, ale od tej pory Rzewski jest przekonany, że to jego wina.
- Mamusia też jest tego pewna — powiedziała Ninka.
- Sergiusz uważa się za mordercę i największym nieszczęściem dla niego jest to, że ja istnieję i wiem wszystko o Lizie. Dlatego nie bardzo mnie lubi.
- A co stało się z tamtą dziewczynką?
- Moja droga, to było tak dawno. Katia jest dziś o wiele starsza od nas. Pewnie nadal mieszka w Wołogdzie, wyszła za męża i ma troje dzieci...
- Pocieszyłeś minie! — oburzyła się Ninka.
- To rzeczywiście nie jest miłe. Przepraszam, że ci opowiedziałem tę historię.
- Komuś musiałeś opowiedzieć, a ja sama tego chciałam. Ale nie przejmuj się tak bardzo, przecież to nie twoje życie.
- Teraz ty z kolei mnie pocieszasz — powiedział Iwan. — Ale mnie się już serdecznie znudziło być tylko widzem.
- Kiedy sam się zakochasz — powiedziała Ninka — wtedy przekonasz się, że to też nie jest łatwe!
- Odwróciła się na pięcie i uciekła.

30

Na początku marca zdechł szympanś Lew. Przyczyną śmierci, według ogólnikowej diagnozy weterynarzy, było ogólne wyniszczenie układu nerwowego. W ciągu ostatnich tygodni Lew nie chciał nic jeść, wpadał bez powodu w histerię i rzucał się na kratę, jakby zamierzał przebić się do ojca i rozszarpać go na strzępy. Maks odgryzał się i złościł, ale bez przekonania, jakby wiedział, że jego sztuczny potomek długo już nie pożyje.

Rzewskiego ta śmierć bardzo przygnębiła. Głównie dlatego, że medycy nie potrafili ustalić konkretnej przyczyny zgonu.

Potem zdarzyło się jeszcze jedno nieszczęście. Kiedy Lew zdechł, Maks zaczął zachowywać się jak szalony, miotał się po klatce i rzucał na kraty. Przez całą następną noc nie spał. Gurina nie wychodziła z wiwarium, ale nad ranem zmorzył ją sen. Maks po cichu wyłamał zamek i uciekł z Instytutu. W poszukiwaniu syna dotarł niemal do centrum Moskwy, bo o tak wczesnej porze na ulicach prawie nie było ruchu, jednak u wylotu alei Wołgogradzkiej śmiertelnie potracił go trolejbus. Kierowca nawet nie zdążył się zorientować, co się stało. Zobaczył tylko, że ktoś wpadł pod koła, i pomyślał, że zabił człowieka. Kiedy zatrzymał pojazd i zobaczył, że przejechał małpę, z ulgi aż usiadł na asfalcie.

Iwan i Ninka nie wiedzieli o tym, bo poszli w gości do Gulińskich. Elza kazała córce przyprowadzić Iwana. Ninka zdziwiła się i nie potraktowała tych zaprosin serio, ale przekazała je z uśmiechem Iwanowi, który natychmiast zgodził się pójść i powiedział:

- Dawno już tam nie byłem. Co najmniej parę lat.
- Chcesz ich poznać na jawie? — zapytała Ninka.
- Chcę.
- To ciekawość czy rozgrzebywanie samego siebie?

— Archeologia.

— Tak przypuszczałam. Zawiadomię matkę, że przyjdiesz. Nie liczyła na to, więc w domu pewnie nie ma nic do zjedzenia.

Matka umalowała się starannie i wyjęła z szafy serwis otrzymany w prezencie ślubnym, mocno już niekompletny, ale nadal bardzo przez nią ceniony. Babcia uczesała się i zawczasu wjechała na fotelu do dużego pokoju. Ojciec naturalnie spóźnił się i musiał na wstępie wysłuchać dłuższej przemowy pod swoim adresem.

Babcia rozplątywała się w uprzejmościach i gadała same głupstwa.

— Bardzo mi miło, młodzieńcze — powiedziała, podając Iwanowi węzłąstą rękę. — Ja teraz nie wstaję, bo jestem po wylewie, zresztą niegroźnym, bo zostałam unieruchomiona tylko częściowo. Jest pan zdumiewająco podobny do Sierioży, jakby te trzydzieści lat nie zostawiło na panu najmniejszego śladu.

— Cieszę się — odparł Iwan. — Już parę osób wspominało mi o tym podobieństwie.

— Mamo! — krzyknęła Elza. — Bądź cicho! Babcia obraziła się.

— Według mnie bardzo sympatycznie się nam rozmawia — powiedziała. — Nieprawdaż, Wania?

— Ma pani absolutną rację.

Iwan spacerował po pokoju przyglądając się meblom, z których wiele przetrwało całe trzydzieści lat w tym mieszkaniu nie remontowanym od momentu, kiedy umarł ojciec Elzy, wiceminister jakiegoś podrzędnego resortu, i w żaden sposób nie mógł zrozumieć, co go tu tak ciągnęło. Poszedł do kuchni, gdzie poza nową ceratą na stole wszystko zostało po starym. Przyszedł tu, kiedy Liza się wyprowadziła, a Elza, wstrząśnięta zdradą tej niewdzięcznej podfruwajki, która nie potrafiła docenić uczucia jej najlepszego przyjaciela, pocieszała go, że teraz przynajmniej będzie mógł bez przeszkód poświęcić się nauce.

— Czego tu szukasz? — zapytała Ninka wbiegając do kuchni.

— Przeszłości — odparł Iwan. — Ale nie warto było jej znajdować. Elza też weszła do kuchni i zaczęła obierać kartofle.

— Przepraszam — powiedziała — ale nie chcieli mnie wcześniej puścić. Zaraz wszystko będzie gotowe. Najdalej za dziesięć minut. Nina, przygotuj śledzie.

Przyczłapał błądy, zmordowany Wiktor. Postawił na podłodze siatki, potem z jednej z nich wydobyl butelkę wódki i parę flaszek wody mineralnej. Szybko schował je do lodówki. Potem zobaczył Iwana i podał mu rękę.

— Chyba cię o coś prosiłam, prawda? — zaczęła groźnie Elza. — Prosiłam cię, żebyś chociaż raz w życiu zrobił coś dla domu...

— Poczekaj, kiciu — powiedział Wiktor — nie denerwuj się! Widziałem rano coś takiego, że nawet sobie nie wyobrażasz.

— Masło kupiłeś?

— Kupiłem, kupiłem, zaraz wyjmę... Wyobraź sobie, małpa wpadła pod trolejbus!

Obmacywał oczami Iwana, jakby opowiadał to wyłącznie na jego cześć.

— Jaka małpa? — przestraszyła się Ninka. — Czarna? Duża?

— Chyba szympanś — powiedział Wiktor. — Trup na miejscu. Nieprawdopodobna historia! Pewnie uciekł z cyrku...

— To był Maks, prawda? — zapytała Ninka chwytając Iwana za rękę. Iwan skinął głową.

— Co? — zapytał Wiktor. — To była wasza małpa, z Instytutu? Szkoda zwierzęcia, pewnie było kupione za dewizy...

— Jaka nasza? — zdziwiła się Elza. — Z wiwarium?

— Tak.

— Prawdziwa czy sztuczna?

— Prawdziwa! — odparła Ninka ze złością. — Najprawdziwsza w świecie!

— Szympanś samobójca! — zarechotał Wiktor. — To trzeba koniecznie opić!

— Witia, Elloczka! — zawołała z pokoju Pawła Władisławna. — Co się stało? Dlaczego nic mi nie mówicie? Gdzie są nasi goście, gdzie są nasze dzieci?

— Już idę — odezwała się Ninka i pociągnęła za sobą Iwana.

— Zamknij lodówkę! — usłyszała okrzyk matki. — I obierz śledzie, ja mam zrobione paznokcie.

— Już kiciu, już. Co za podobieństwo! Aż strach...

— Dobrze zrobiłeś, żeś nas odwiedził — powiedziała Pawła Władisławna. — Przecież kiedyś bardzo się z Elloczka przyjaźniliście i stanowiliście wyjątkowo dobraną parę.

— Babciu! — powiedziała Ninka.

— Ja tylko tak ogólnie, rozumie mnie pan, prawda? A pan nie uskarża się na zdrowie?

— On się nie uskarża na zdrowie — odpowiedziała za Iwana Ninka.

— Nikt cię nie pyta o zdanie! — ofuknęła ją babcia. — Pytam dlatego, że teraz mamy taką masę produktów zastępczych. Margarynę, plastyki i tak dalej. Panu pewnie też coś takiego wsadzili...

— Mamo, przestań go piłować! — krzyknęła Elza z kuchni.

— Jak ty traktujesz własną matkę?! — wściekła się babcia.

— Martwisz się o Rzewskiego? — zapytała cicho Ninka.

— Tak, musi się teraz paskudnie czuć.

— Ale to przecież przypadek!

— Przypadek — zgodził się z nią Iwan.

Upłynęła co najmniej godzina, zanim zaproszono ich do stołu. Przy stole kwitły życzliwe uśmiechy. Nawet to, że Iwan zupełnie nie pił, nie zmąciło przyjaznego nastroju, bo wszyscy się zgodzili, że młody człowiek istotnie pić nie powinien.

Wiktor szybko się upił. Od paru lat wystarczały mu do tego celu dwa, trzy kieliszki, a teraz, korzystając, że Elza była zaabsorbowana gościem, wlał w siebie chyba z pięć szklaneczek. I natychmiast zrobił się agresywny.

Ninka nie lubiła swego ojca w takim stanie, nie lubiła, gdy spod maski brata—łaty wyłaniał się zupełnie inny człowiek — zły, zawistny i ukrywający swoją zawiść za parawanem nadmiernej szczerości.

— Wania — powiedział Wiktor. — Bardzo się z twoim ojcem przyjaźniliśmy. Wierzysz mi?

Iwan kiwnął głową, bo Wiktor tylko lekko mijał się z prawdą.

— I zostalibyśmy nadal przyjaciółmi, gdyby nie baby i to jego karierowiczostwo. Sergiusz piął się do góry niemal po trupach. Dla sławy gotów byłby zabić. A ja... Ja zawsze byłem wyczulony na cudzą krzywdę, a z takim charakterem kariery nie da się zrobić.

Elza wyszła do kuchni po pieczone kartofle. Wiktor pochylił się nad Iwanem i powiedział:

— Zazdrościłem mu. Zawsze mu zazdrościłem i to był błąd. Teraz już mu nie zazdroścę, rozumiesz? Został sam jak palec i ty płacisz za jego tragedię... Poczekaj! — Wiktor zauważył niecierpliwy ruch córki. — Nie spiesz się. Żarcie wam nie ucieknie. Korzystajcie z niego, dzieci. Sława, fanfary, to wszystko nic niewarte...

Iwan posłusznie kiwał głową jak porcelanowa figurka Chińczyka. Twarz mu poczerwieniała. Ninka patrzyła na niego z niepokojem i nie wiedziała, jak go stąd wyprowadzić.

— Rzewski będzie się niepokoił — powiedziała.

— Zostawiłem mu wasz telefon — odparł Iwan nie ruszając się z miejsca i patrząc uważnie na Wiktora, jakby zachęcał go do dalszych wyrznięć.

Elza przyniosła półmisek pieczonych kartofli w mundurkach i postawiła go z łoskotem na stole. Miała widać nadzieję, że zagłuszy w ten sposób gadanie Wiktora.

— Jedz, Wania — powiedziała babcia. — Zawsze lubiłeś pieczone ziemniaki. Zresztą żadnych frykasów nie jadamy.

Wiktor wstał, podszedł do Iwana i położył mu ręce na ramionach.

— Myślisz, że to marazmatyczka? Nic podobnego, udaje — powiedział wskazując gestem głowy teściową. — Wszyscy ludzie udają. Twój Rzewski udaje i ty udajesz. Masz ochotę na moją córkę? Masz. A nie zabijesz jej przypadkiem?

— Zamknij się! — krzyknęła Elza.

— Iwan, idziemy stąd! — poderwała się Ninka.

Elza szlochała. Wiktor powlókł się za nimi do przedpokoju.

— Nie bierz moich słów dosłownie — mamrotał. — Wszystko na tym świecie ulega zapomnieniu.

— Proszę nas jeszcze kiedyś odwiedzić! — zawołała z pokoju babcia. Na szczęście od razu złapali taksówkę.

W Instytucie Iwan natychmiast się położył. Czuł się chory.

31

— Musi pan ograniczyć swoje studia — powiedział profesor Wołodin pokazując na stertę książek i czasopism naukowych — bo inaczej doprowadzi się pan do szaleństwa. Mówię poważnie. Dawniej nazywano to gorączką mózgową. Teraz wymyślimy jakąś nowocześniejszą nazwę, ale pomóc panu nie zdołamy. Młody człowiek, a ciśnienie skacze jak u staruszka! Jak najwięcej świeżego powietrza i ruchu. Może pan biegać truchcikiem.

— Nawet w młodości nie biegałem — powiedział Iwan. Zaraz jednak potrząsnął głową i dodał: — Spróbuję.

Następnego dnia rano założył dres i pobiegł truchcikiem w kierunku byłych baraków. Skręcił w lukę między drzewami, wdepnął w kałużę, przemoczył nogi i rozzłościł się na siebie. W swojej pierwszej młodości ruszał się o wiele sprawniej. Zawrócił. Coś miał zrobić... Ale co?

Przypomniał sobie. Musi pójść do działu kadr. Nigdy nie zrzuci z siebie brzemienia cudzej pamięci, jeśli nie dotrze do prawdy. Gdzie Sergiuszowi powiedziano, że nie przyjmą go na aspiranturę? Była przecież taka rozmowa, ale kiedy i gdzie?

W niewielkim jasnym pokoju siedziały dwie kobiety. Jedna z nich — w mocno już podeszłym wieku — miała na imię bodajże Polina, drugiej — młodej — Iwan nie znał.

— Proszę spocząć, Iwanie Sergiejewiczu — powiedziała sędziwa dama, zerkając na niego zza grubych okularów.

— Mam do pani dziwne pytanie — zwrócił się do niej Iwan. — Jak długo pani tutaj pracuje?

— Przez całe życie — odparła dama ze zdziwieniem. — A co się stało?

— Nic szczególnego. Po prostu chciałem zaspokoić własną ciekawość. Czuł na sobie zadurzony wzrok młodej kobiety. Zaraz poprosi mnie

o autograf, pomyślał. Albo dogoni mnie na korytarzu i dopiero tam poprosi.

— Słucham pana. — Sędziwa personalna powiedziała to tonem spowiednika.

— W którym konkretnie roku zaczęła pani tu pracować?

— W sześćdziesiątym... — odpowiedziała kobieta.

W odpowiedzi zawarte było nie wypowiedziane pytanie, na które trzeba było zareagować.

— Szkoda — powiedział Iwan. — Chciałbym dowiedzieć się o coś, co zdarzyło się znacznie wcześniej, gdzieś w pięćdziesiątym szóstym roku. Jeszcze pani wówczas tu nie pracowała?

— Nie.

— Sergiusz Andriejewicz prosił mnie o uściślenie pewnego szczegółu, przypomnienie pewnej rozmowy...

— Może jednak zachowały się dokumenty? — zapytała dziewczyna.

— Naturalnie! — ucieszył się Iwan. — To może być w aktach osobowych Rzewskiego.

— Niestety, nie mogę ich panu udostępnić — powiedziała personalna. — Sergiusz Andriejewicz będzie musiał sam się pofatygować... Przekaze mu to pan?

— Tak, oczywiście. — Iwan wstał. — A czy w tych aktach mogły zachować się jakieś listy, anonimy?

— To absolutnie niemożliwe! — odparła energicznie personalna, unosząc wysoko brwi. — Akta osobowe są dokumentem zaświadczającym przebieg pracy zawodowej, a prywatne listy przecież nie mogą mieć z nią nic wspólnego.

Iwan pożegnał się i wyszedł, ale nie zdążył przejść nawet dwudziestu kroków korytarzem, gdy skrzypnęły otwierane drzwi i rozległ się głos dziewczyny.

— Iwanie Sergiejewiczu, można pana jeszcze na chwilę prosić?

No jasne, autograf. Iwan sięgnął do wewnętrznej kieszeni, sprawdzając, czy ma przy sobie długopis.

— Polina Tichonowna chciała panu jeszcze coś powiedzieć.

— Skoro sprawa jest natury osobistej i jak sądzę delikatnej — powiedziała sędziwa personalna — to może spróbuję pomóc panu w trybie pozasłużbowym.

— Jak?

— Chwileczkę. Raiso, zdaje się, że miałaś zamiar iść po coś do bufetu?

— Idę, idę... — odparła niechętnie dziewczyna, ale wstała.

— W pięćdziesiątym szóstym już tu pracowałam. W ogóle jestem tu od wojny i wszystkie fakty tkwią we mnie jak w kartotece. Niech się panu nie wydaje, że zawsze byłam starą ciotką w okularach. W latach pięćdziesiątych byłam sekretarką dyrektora, członkinią zakładowego komitetu Komsomołu i osobą niezwykle popularną...

Polina Tichonowna patrzyła na niego uważnie. Doskonale rozumiała, że Iwanem powoduje nie jakaś tam zwykła ciekawość, ale prawdziwego celu jego wizyty nie mogła rozszyfrować. Iwan pomyślał sobie, że starsza pani nadal ogromnie interesuje się wszystkimi wydarzeniami z życia Instytutu i nadal gromadzi fiszki do swojej kartoteki.

— Odziedziczyłem pamięć Sergiusza Andriejewicza — powiedział.

— Słyszałam o tym. W Instytucie wiele się o panu mówi — powiedziała Polina Tichonowna. — Ale trudno w to uwierzyć. Przynajmniej mnie, starej kobiecie.

— Mnie też czasem trudno — powiedział Iwan poważnie.

— Rozumiem — skonstatowała Polina Tichonowna. — Po co grzebać w cudzych brudach?

— Sprawa wygląda nieco inaczej — odparł Iwan tonem Rzewskiego. — Sergiusz Andriejewicz niektórych rzeczy zapomniał.

— Na przykład?

— Na przykład to... w jaki sposób dostał się na aspiranturę.

— Zwyczajnie. Po szkole przyjechał tutaj i zdał na uniwersytet. Potem musiał przejść na studia zaoczne i zaczął pracować tutaj jako laborant. Musiał utrzymać się sam, bo nie miał mu kto pomóc. Po studiach przyjęto go na aspiranturę. Ówczesny dyrektor miał do niego słabość. Zresztą dla każdego było oczywiste, że wyrośnie z niego wybitny uczyony.

— Od razu został aspirantem?

— Zaraz po studiach. Pan powinien to pamiętać.

— Pamiętam. Ale była pewna rozmowa... Albo w dziale kadr, albo u dyrektora...

— Jaka znów rozmowa? Skoro już pan zaczął, to nie ma sensu bawić się w ciuciubabkę. W końcu to nie ja do pana przyszedłam.

— Podobno postawiono mu warunek. Zażądano, aby poprawił swą... sylwetkę moralną.

— Kto? Sierioża? — W czarnych oczach za okularami i w uniesionych brwiach było takie naiwne zdumienie, że Iwan zrozumiał, iż w istocie znają się kopę lat, że, co więcej, tak kobieta odnosi się do niego z równą sympatią jak w młodości. Od razu przypomniał sobie jej twarz, okrągłutki pyszczek śmieszki Poli.

— Liza nie miała ślubu ze swoim aktorem — oświadczyła Polina kategorycznym tonem. — Sierioża nocami rozładowywał wagony, żeby jej córeczka miała wszystko co niezbędne, wszyscy o tym wiedzieli... Ja natomiast byłam przekonana, że i tak nic z tego nie wyjdzie. Prawie nie znałam Lizy, bo widziałam ją zaledwie parę razy na instytutowych wieczorynkach. To była wysoka, przystojna dziewczyna wyglądająca na starszą od niego... A o jakim liście pan mówił?

— Jakiś list był, on nie mógł tego wymyślić. Dowiedział się w każdym razie, że nie przyjmą go na aspiranturę.

— Nie wierzę — powiedziała Polina jeszcze bardziej kategorycznie. — Personalnym był wtedy u nas pułkownik w stanie spoczynku, inwalida, człowiek niesłychanie porządny. Znał Sieriożę, bo u nas wtedy pracowało bardzo mało ludzi... A gdyby do komitetu Komsomołu przyszło jakieś pismo albo chociażby dotarła pogłoska o nim, to ja na pewno bym się o tym dowiedziała. Nie, to wykluczone. Zresztą jeśli pan nie wierzy, to proszę odszukać Wiktora Gulińskiego, jego ówczesnego przyjaciela. On również był w komitecie.

32

Iwan opowiedział o tej rozmowie Nince. Zawsze wszystko jej opowiadał, bo dziewczyna umiała słuchać i nikomu niczego nie powtarzała.

— Chcesz, żebym porozmawiała z ojcem? — zapytała Ninka. — Na trzeźwo ojciec jest bardzo sympatyczny.

— Nie, nie warto — odparł Iwan. — Lepiej bierzmy się do nauki.

— Jesteś filantropem?

— Nie, egoistą. Przerabiam z tobą cały program maturalny. Żadnemu z profesorów nie przyszło do głowy, że przez te lata nauka bardzo się rozwinęła, iż nie zaszkodzi zajrzeć teraz do jej elementarza.

Zajęcia z Ninką wybijały go z rytmu, ale przecież nie mógł się jej przyznać, że robi to tylko dla niej. Czuł się jak zawodowy kierowca, który uczy jeździć nowicjusza. Ninka była zwyczajną, pilną i zdolną uczennicą, ale nic ponadto. Jemu natomiast wystarczyło zerknąć pobieżnie na stronicę podręcznika, żeby zrozumieć wszystko i jeszcze trochę więcej, niż miał na myśli jego autor. Iwan coraz bardziej się spieszył, jak gdyby koniec życia podkładał się nie do Sergiusza, lecz do niego. Wiedział też, że musi intensywnie pracować wbrew ostrzeżeniom dobrego profesora Wołodina, który miał wiele dobrych chęci, ale zupełnie, bo i skąd, nie znał się na monstrach. Medykom zależało na zachowaniu jego śmiertelnego ciała, Iwan zaś miał do rozwiązania mnóstwo problemów. Takich na przykład, dlaczego jego ojciec został zabójcą i dlaczego jego syn musi nosić w sobie poczucie tej winy, i takich wreszcie jak pytanie zasadnicze: co dalej robić z Iwanem i jemu podobnymi. Rozstrzygnąć, czy doświadczenie się powiodło, a jeśli tak, to w jakim stopniu. Czy on,

Iwan, w ogóle zdolny jest do życia? Czy złe samopoczucie, osłabienie i chandra są przypadkowymi skutkami jego nieustabilizowanego charakteru, czy też wadami organicznymi, które będą mieć również następni sztuczni ludzie? Lew i Maks umarli, doświadczenia na ludziach zostały na razie wstrzymane, a świat naukowy patrzy na Iwana z wszelkimi odcieniami przychylności i zawiści. Dla naukowców jest on kolumnami cyfr, płachtami rentgenogramów, akapitami sprawozdań. A obok siedzi urocza smarkula i stara się wymyślić pretekst, w jaki tu sposób dałoby się wyrwać do kina.

— A w „Gigancie” rozpoczyna się dziś tydzień filmu francuskiego — zakomunikowała Ninka. Nie wytrzymała. Teraz trzeba zrobić wszystko, żeby nie zaciągnęła Iwana do kina, bo chciałby dziś wieczorem coś policzyć dla siebie.

33

Iwan poszedł do programistów. Wieroczka dotrzymała obietnicy, chociaż z ledwością zmieściła się w dwóch godzinach czasu maszynowego. Teraz wszystko miał czarno na białym. Z liczb wynikało w sposób oczywisty, że nie chodziło o żadne fizyczne braki czy błędy funkcjonalne, bo błędów nie było. Mózg jest układem o ograniczonej wydolności. Jedyne niewielka część jego komórek aktywnie pracuje, nie z powodu jakiegoś niedopatrzenia natury, tylko dlatego, że mózg trzeba oszczędzać.

W trakcie przyspieszonego tworzenia dorosłego osobnika przechodzi na niego całe doświadczenie życiowe genetycznego „ojca”. Im wyżej zorganizowany donor, tym aktywniej pracuje jego mózg, tym bardziej zbliża się do naturalnych granic swoich możliwości, tym mniej ma rezerw. Znaczy to, że mózg Iwana, jego układ nerwowy, już od pierwszych chwil życia był przeładowany informacją. Zmęczenie Rzewskiego, wyniszczenie jego układu nerwowego dostało się w spadku Iwanowi.

Ale natychmiast po narodzinach Iwan zaczął wchłaniać już swoje własne doświadczenia. Nie chciał zwyczajnie kontynuować osobowości Rzewskiego, lecz starał się jak najszybciej od niej oddzielić, usamodzielnąć, napełnić mózg własną treścią. Rozległ się sygnał przeciążenia i mózg rozpoczął gwałtowną walkę z cudzą pamięcią Sergiusza Rzewskiego. Walka z Rzewskim równała się walce z własnym mózgiem, który wyrzucał z siebie minione myśli i zaprzeszłe obrazy...

Co ja mam teraz robić? — zastanawiał się Iwan. — Zażywać walerianę? Przestać czytać i pisać? Nie myśleć? To już lepiej się powiesić... A tymczasem obolałe sumienie profesora Rzewskiego, tak nieogłędnie przekazane jego synowi z nieprawej wanny, pragnie ukojenia. W rezultacie Iwan może dostać hyzja, a Rzewski może nie przeżyć klęski naukowca i człowieka. To jest jasne jak słońce. A zatem, żeby nie zgubić Rzewskiego, trzeba samemu żyć. A żeby żyć, trzeba wyzbyć się paskudnej przeszłości profesora Rzewskiego...

34

Iwan oczekiwał kolejnego snu, bo wiedział, że podświadomość pobudzona przez rozmowę posłusznie, niczym sprawny urzędnik, podsunie mu zakurzone teczki z dokumentami.

Doczekał się.

Korytarzem Instytutu szedł młody, szczupły, ale już jakby zramolały Wiktor. Iwan od razu domyślił się, że Wiktor zacznie się rozwodzić nad problemem sylwetki moralnej młodych aspirantów. Ale nie, Wiktor podszedł bliźniutko i zapytał:

— Masz papierosa?

Sergiusz wyjął z kieszeni pomarańczowe pudełeczko „Dukatów”. Zapalili. Wiktor nerwowo patrzył w okno.

— Jak tam u ciebie? — zapytał wreszcie. — Co u Lizy?

— Katia choruje — powiedział Sergiusz. — Nie mam pojęcia, gdzie ten dzieciak się przeziębił.

— To znaczy, że znów nie ma pracy? — zapytał Wiktor i westchnął.

— No cóż, sam tego chciałem.

— Nie, wcale tego nie chciałeś — powiedział Wiktor. — Ty sam nie wiesz, czego chcesz. Dużo przez ten rok zrobiłeś?

— Coś ty nagle zrobił się taki troskliwy? Elza kazała ci ze mną pogadać?

— Zwariowałeś? Elzy nie widziałem od tygodnia. Ma sesję egzaminacyjną, a przecież wiesz, jak poważnie traktuje swoje bibliotekoznawstwo. Narzeczona z dyplomem. Towarzyszka życia wielkiego naukowca.

Iwan powinien przerwać tę rozmowę, bo wiedział — we śnie łatwo przewidzieć przyszłość — że właśnie przez tę rozmowę Liza odejdzie od niego.

— Dla ciebie najważniejsza rzecz w tej chwili, to dostać się na aspiranturę — powiedział Wiktor.

— A co? Uważasz, że nie mam szans?

— Nie masz innego wyjścia. Jesteś z natury twórcą, masz prawdziwy talent, który jest silniejszy od ciebie. Ale z drugiej strony nie ma ci czego zazdrościć.

— Dlaczego?

— Jesteś niewolnikiem swojej pracy i swojej miłości, której już nie ma.

— Przestań!

— A kto ma ci to powiedzieć? Elza, która marzy o tym, żeby się za ciebie wydać?

— Jaki tam ze mnie konkurent...

— Idioto, przecież ty za rok dostaniesz za swój dyplom tytuł kandydata, jeśli naturalnie noga ci się nie powinie.

— Dlaczego miałaby mi się noga powinąć?

— Nie chciałem ci tego mówić, ale muszę...

Iwan wyciągnął rękę, żeby odepchnąć Wiktora od Rzewskiego, ale jego dłoń, co zresztą było do przewidzenia, chwyciła tylko powietrze. Jak zwykle w koszmarze...

— Co takiego?

— Słyszałem dziś, jak dyrektor rozmawiał z personalnym. Szli korytarzem i nie zauważyli mnie.

— I coś podsłuchał?

— Mówili o tobie, stary. Zastanawiali się nad kandydaturami. Wiesz przecież, że na aspiranturze są tylko dwa miejsca, a kandydatów... Personalny mówił, że dostał sygnał na twój temat. Podobno Liza ma ślub z innym, a ty jesteś uwodzicielem, człowiekiem niemoralnym, i tacy...

— Liza nie brała z nikim ślubu, to kłamstwo! — Powiedział Sergiusz. Zupełnie nie to, co należało powiedzieć. — Odczep się ode mnie.

— Jak uważasz. Ostrzegłem cię, a co ty z tym zrobisz, to już nie moja sprawa...

I Wiktor zniknął.

A Sergiusz zobaczył Iwana, wcale się nie zdziwił i zapytał:

— Co ja mam zrobić?
— Zjrzyj we mnie, zjrzyj w swoją przyszłość — odparł Iwan. — Tak będzie sprawiedliwie. Oddałeś mi swoją przeszłość, więc możesz wziąć sobie moją przyszłość.
— Nie, nie mogę — powiedział Sergiusz. — Nie mam czasu. Muszę iść do domu. Liza na mnie czeka.

35

Rzewski zaraz po przyśściu do Instytutu dowiedział się, że Iwan był w dziale kadr. Dowiedział się też, po co Iwan tam chodził, i wezwał go do siebie.

— Popatrz — powiedział Rzewski, podsuwając Iwanowi pod nos plik diagnoz i analiz. — Właściwie jako pacjentowi nie powinienem ci tego pokazywać, ale ponieważ systematycznie się zabijasz, to nie mam innego wyjścia.

Iwan przejrzał papiery i nie znalazł w nich niczego dla siebie nowego. I tak czuł się jak starzec, któremu organizm coraz bardziej odmawia posłuszeństwa.

— Jestem starcem — powiedział. — Pod względem fizjologicznym już dawno cię wyprzedziłem.

— Dzisiaj zbiera się konsylium. Najprawdopodobniej położą cię do szpitala.

— Bardzo słusznie — mruknął Iwan. — Tam to już na pewno wyciągnę kopyta.

— A co mamy robić, skoro ty sam nie chcesz sobie pomóc?

— Nie mam wcale ochoty umierać, ale jeszcze bardziej nie chcę iść do szpitala. Medycy mogą leczyć tylko to, na czym się znają, a na mnie nie znają się zupełnie. Ja przecież tylko wydaję się taki sam jak inni ludzie.

— Jesteś zbudowany tak jak wszyscy ludzie.

— Gadanie! Każdy człowiek jest z góry zaprogramowany na określoną, przynajmniej z grubsza, długość życia. Prawdopodobnie program ten powstaje już w łonie matki. Ty też nie masz pojęcia, jak ten system działa, bo zajmowałeś się wyłącznie praktyczną stroną eksperymentu, bo zależało ci tylko na wyniku. A filozoficzny aspekt sprawy zupełnie cię nie interesował.

— Filozoficzny? A może metafizyczny?

— Boisz się, ojcze. Boisz się fiaska o wiele bardziej niż mojego fizycznego rozpadu. Nie obawiaj się, niezależnie od rezultatu końcowego twój eksperyment jest wspaniały. Zanalizowałem go i przeliczyłem na modelu matematycznym wszystkie warianty. Wszystko zrobiłeś dobrze, tyle że zbyt wąsko.

— Mówisz o sobie jak o mechanizmie. A ja lękam się o ciebie jak o syna.

— Wierzę. Bardzo się przez te pół roku zmieniłeś. Stałeś się... bardziej ludzki. To dobrze. Twój pierwszy eksperyment — z Lizą — zakończył się zupełną klęską...

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— To, co powiedział ci Wiktor trzydzieści lat temu: że jesteś niewolnikiem nauki. A niewolnik jest zawsze ułomny, jeśli chodzi o uczucia wyższe.

— Nie rozumiem, co ma do rzeczy Wiktor...

— Rozmawialiśmy już nieraz i wiesz, że czasami pamiętam więcej od ciebie, bo jestem postronnym obserwatorem. Zainteresowanym, ale jednak postronnym.

— Mówimy o twoim zdrowiu. Iwan uśmiechnął się serdecznie.

— Posłuchaj, ojczy — powiedział. — Ze mną nie wolno rozmawiać jak z podwładnym, gdyż w przeciwnym razie przekształcimy się w dwa szympansy, które ciągle się kłóciły, bo nie mogły zrozumieć, że są jedną istotą w dwóch ciałach.

Rzewski jednak się nie poddawał. Był przecież dyrektorem Instytutu i twórcą Iwana... Można wszystko rozumieć, ale nie od razu trzeba się ze wszystkim godzić...

— Możesz mnie potępić — powiedział — możesz grzebać się w mojej pamięci, ale nie wciągaj do tego innych ludzi!

— Boisz się?

— Już od dawna niczego się nie boję. Trudno potępić mnie bardziej, niż ja sam to zrobiłem.

— Mogłeś ją odnaleźć i skłonić do powrotu... — powiedział Iwan.

— Mogłem, ale obawiałem się, że znów wszystko zacznie się od początku. Zawiniłem.

— Nie ty sam. To przecież Wiktor przekonał cię, że powinieneś dla dobra nauki zrezygnować z miłości.

— Nie pamiętam takiej rozmowy.

— Bo nie chcesz jej pamiętać. Mogę cię zapewnić, że nigdy nie było żadnej „twojej sprawy”, nikt nie przysyłał anonimu i nikt też nie zamierzał pozbawić cię aspirantury. Ty jednak wolałeś uwierzyć Wiktorowi, bo tak ci było wygodniej.

— Wiktor był moim przyjacielem...

— W gruncie rzeczy wypędziłeś Lizę, bo wygodniej ci było wystraszyć się...

— Nie pamiętam — powiedział Rzewski zgnębionym tonem. — Słowo honoru, że nie pamiętam. Ale dlaczego to jest dla ciebie takie ważne?

— To jest ważne również dla ciebie. Wydaje ci się, że pozbyłeś się tego wspomnienia, ukryłeś w najciemniejszym zakamarku twojego mózgu, przysypałeś rupieciami powszednich kłopotów... Ale przecież nieraz czułeś, jak ono się tam porusza...

— I to jeszcze jak dotkliwie...

— Więc dlaczego się dziwisz, że jest to dla mnie ważne? Ja przecież nie mogę ukryć tego gdzieś w kącie, nie mogę oszukiwać się, jak ty to robisz. Popeniłeś kiedyś... pomyłkę, która wiele kosztowała nie tylko ciebie...

— Posłuchaj, Iwanie — przerwał mu Rzewski niemal spokojnym głosem. — Ciągłe powtarzasz, że musisz oddzielić się ode mnie, stać się samodzielną osobowością. Doskonale to rozumiem. Nie rozumiem jednak, dlaczego jesteś niekonsekwentny. Przecież dopóki grzebiasz w mojej przeszłości, dopóty jesteś związany ze mną tak dalece, że szkodzi ci to i... wywołuje niechęć między nami. Spróbuj więc powiedzieć sobie, że to nie jest twoja przeszłość, tylko przeszłość Sergiusza! I spokojnie buduj własną przyszłość.

— Nie mogę. Nie mogę żyć spokojnie, dopóki nie przejrzę dokładnie wszystkich zakamarków twojego życia.

— Dlaczego?!

— Bo jestem twoją kopią genetyczną. I dlatego jeśli jesteś złodziejem, muszę zrozumieć, dlaczego tym złodziejem zostałeś. Jeśli mordercą, zdrajcą, tchórzem, egoistą — muszę pojąć, czy odziedziczyłem te twoje cechy, czy też zdołałem się ich wyzbyc.

— Naprawdę myślisz, że jestem mordercą?

— Nie wiem i na tym polega mój dramat! Odziedziczyłem twoją pamięć, ale niczego jeszcze nie rozumiem. A może ty sam wymyśliłeś tę całą historię, żeby tylko pozbyć się Lizy?

— Oszalałeś?! Nic podobnego nie przysłoby mi do głowy.

— Mam nadzieję. Gulińscy patrzą na mnie jak na potencjalnego zbrodniarza i boją się o Ninę.

— A co tu Nina ma do rzeczy?

— Dziewczyna się we mnie kocha. Gulińscy myślą, że zamierzam się z nią ożenić. Zapominają, że ja nie mam dowodu osobistego ani metryki...

— Czekaj, czekaj, nie żartuj... A ty?

— To nieważne, ale potrafię zrozumieć Gulińskich.

36

Na miejscu lekarzy Iwan nie ryzykowałby, tylko zapuszkował pacjenta do kliniki i po kłopotcie.

Jeśli zacznie tych lekarzy przekonywać, że przyczyną jego złej formy jest nadmierne obciążenie mózgu, z pewnością nie potraktują go poważnie. Nic dziwnego, bo dla nich jest on istotą patologiczną, nie w pełni człowiekiem, chociaż starannie te swoje opinie przed nim ukrywają... Zalecą go na śmierć, co do tego nie może być najmniejszych wątpliwości.

Dlatego Iwan rano udał, że znakomicie się wyspał, i potulnie poddał się wszystkim zabiegom i analizom. Potem dojadł zapas aspiryny, zakąsił torebką glukozy, napił się mocnej kawy i oświadczył Nince, która gotowa była otoczyć go współczuciem i troską, że dzisiaj akurat nadmiernej troski nie potrzebuje, bo zamierza się trochę pouczyć. Ninka wprawdzie coś przeczuwała, ale nie ośmieliła się oponować. Dobre dziecko!

Następnie Iwan włożył do kieszeni niedawno otrzymaną pensję, z której nie wydał jeszcze ani kopiejki, dorzucił legitymację służbową, ciepło się ubrał i wyszedł do ogrodu.

Z ogrodu wydeptaną ścieżką poszedł na przystanek autobusowy. Czuł się paskudnie, ale starał się nie zwracać na to uwagi. Nie wiedzieć czemu zapamiętał, że Wiktor zawsze jada obiady w stołówce na Czerny—szewskiego, gdzie zna wszystkie kelnerki i ma z nimi dobre układy. Zostawiają mu piwo... Pewnie pochwalił się podczas jakiegoś przypadkowego spotkania. Pojechał tam, ale Wiktora nie zastał, wyszedł więc skwapliwie na ulicę, bo od stołkówych aromatów, całkiem zresztą zwyczajnych, dostał silnych mdłości. To też nie najlepszy objaw, pomyślał i zobaczył Wiktora, który zrazu minął go, ale za chwilę wrócił i popatrzył na niego z niepokojem.

— Dzień dobry — powitał go Iwan. — Czekałem na pana.

— Rozumiem — odparł skwapliwie Wiktor. — Nie widzę przeszkód, żebyśmy mogli sobie porozmawiać, tym bardziej że ostatnim razem trochę nam ta rozmowa nie wyszła... Ja sam miałem ochotę się z panem spotkać. Tu za domem jest ławka, latem piwo na niej pijam. Usiądźmy, nikt nas tam nie zobaczy... Dobrze.

Pobiegł przodem i zgarnął rękawiczką śnieg z ławki.

— Nie przeziębisz się pan?

Iwan usiadł, wyjął papierosy. Palił więcej niż Rzewski.

— Proszę mnie dobrze zrozumieć — ciągnął Wiktor. — Niech się panu nie zdaje, że ja mam coś przeciwko pańskim stosunkom z Niną... Nic podobnego!

— Chciałem pana zapytać o coś innego — powiedział Iwan. — O to, co wydarzyło się dwadzieścia parę lat temu.

— Dwadzieścia parę...

— Jak pan sądzi, dlaczego Rzewski rzucił Lizę?

— On wcale jej nie rzucił — odparł szybko Wiktor. — To ona od niego odeszła. To była bardzo dumna kobieta. Została obrażona, więc odeszła.

— Ale jak to się stało, że Rzewski ją tak obraził?

— Faktycznie on ją zabił. Dla niego zrezygnowała ze wszystkiego...

— A co pan wówczas robił? — zapytał Iwan.

— Zrozumiałem, że Sergiusz jest egoistą. Nie, nie w potocznym sensie, ale nauka jest dla niego wszystkim. Wydało mu się, że Liza mu przeszkadza, więc usunął ją z drogi... Pamiętam, jak Sergiusz skarżył mi się kiedyś, że Liza nie pozwala mu iść na aspiranturę. — Powiedziawszy to, Wiktor rzucił na Iwana szybkie spojrzenie zimnych, pełnych wrogości oczu.

— A później już się pan z Lizą nie widział?

— Po co to panu potrzebne? A może Sergiusz?...

— On o niczym nie wie.

— Panu mogę powiedzieć. Liza zadzwoniła do mnie. Sierioża mnie rzucił, powiada. Pojechałem natychmiast. Katia chora, mówię, gdzie ty z nią w takim stanie? Ale ona na to, że nie chce mu przeszkadzać, że dla niego nauka jest najważniejsza... No to ją odprowadziłem.

— Gdzie?

— Na dworzec, naturalnie. Na pociąg do Wołogdy.

— A co później?

— W parę miesięcy potem Liza zginęła. Myślę, że popełniła samobójstwo... Wtedy nie mogłem już przyjaźnić się z Rzewskim. Myślę, że mnie rozumiesz.

— A co się stało z dziewczynką?

— Nie wiem... — odpowiedział Wiktor i zaczął coś niewyraźnie mamrotać.

— Muszę dowiedzieć się prawdy.

— Prawdy? — zdziwił się Wiktor. — A czy coś takiego w ogóle istnieje? Ilu ludzi, tyle prawd.

— Nie wierzę w to.

— I masz rację. Nikomu nie wolno wierzyć, a zwłaszcza nie wolno wierzyć bliskim. Poza tym prawda może jedynie zaszkodzić.

— Muszę znać prawdę — powtórzył z uporem Iwan.

— No to jej szukaj. Tylko potem nie miej do mnie pretensji.

— Gdzie mieszkała matka Lizy?

— Słuchaj, to było ćwierć wieku temu!

— Ale pan tam bywał!

— Zapomniałem adresu. Słowo daję, że zapomniałem.

— Proszę sobie przypomnieć.

— Tam już nikt nie mieszka. Katarzyna Gieorgiewna Maksimowa, matka Lizy, umarła jakieś dziesięć lat temu. Brat też gdzieś się wyprowadził.

— Bywał pan tam?

— No dobrze, zapisz. Arbat...

37

Okazało się, że Wiktor nie kłamał. Matka Lizy dawno temu umarła, w mieszkaniu byli zupełnie obcy lokatorzy, którzy niczego nie wiedzieli. Walcząc z bólem głowy i coraz bardziej przekonując się o beznadziejności całego przedsięwzięcia, Iwan obszedł bez skutku wszystkie sąsiednie mieszkania, zajrzał do administracji i wreszcie stanął pośrodku podwórza koło stolika, przy którym dwóch starszuchów grało w szachy. Już chciał zapytać ich o losy Maksymowów, ale nie zdążył. Jeden z szachistów, który już od dawna nie niego zerkał, powiedział nagle biorąc pionka:

— Przejdź się do sklepu spożywczego. Zaraz za rogiem, niebieski szyld. Zapytaj o tragarza Walę. — I jak gdyby nigdy nic zwrócił się do partnera: — Twój ruch, Kola.

Iwan był tak zmęczony, że o nic więcej nie pytał. Kazali iść, to poszedł. W sklepie zapytał sprzedawczynię o tragarza Wale. Wpuściła go za ladę i pokazała ręką w dół. W piwnicy na skrzynce siedział starszy mężczyzna o pomiętej, niegdyś przystojnej twarzy i pił piwo z butelki.

— Dzień dobry — powiedział Iwan. Twarz tragarza była znajoma. Wala był podobny i do Lizy, i do Katarzyny Georgiewny. — Pan mnie nie zna...

Brat Lizy podniósł się ze skrzynki, przetarł oczy grzbietem dłoni i cicho zaklął.

— Kopia — powiedział. — Absolutne podobieństwo. Duchu, skąd cię przyniosło?

— Jestem synem Rzewskiego — powiedział Iwan.

— A kim z takim wyglądem mógłbyś być? Jak mnie odnalazłeś?

— Sąsiedzi z podwórka powiedzieli.

— Dziwne, dawno już tam nie mieszkam, a moje ślady zaginęły w ludzkim morzu. A po coś mnie szukał? Chciałeś odwiedzić rodzinne groby? To znaczy, że jednak twój ojciec się ożenił, pewnie z tą swoją z Instytutu?

Wala Maksimów był zdenerwowany, trzęsły mu się ręce.

— Siadaj — mówił dalej. — Tyle lat... Ja tam nic do twojego ojca nie mam, Lizka przy nim czuła się jak człowiek. Ale historia! Jak on tam, nie choruje? A matka umarła w siedemdziesiątym drugim. Nie miała z nas pociechy.

— Chcę się dowiedzieć, co się stało po tym, jak ojciec rozstał się z pańską siostrą — powiedział Iwan. — To dla mnie bardzo ważne.

— Nie było mnie przy tym — odparł Wala Maksimów. — Nie potrafię też oddzielić przyczyny od skutku. Ale jeśli cię to tak bardzo interesuje, to jedź porozmawiać z Katią. Ona wprawdzie nie uważa mnie za człowieka, ale na każde święto przysyła widokówkę z życzeniami.

— Córnka Lizy?

— Właśnie.

38

W samolocie Iwan stracił przytomność, ale na szczęście za moment ją odzyskał. Z lotniska w Wołodzie zadzwonił do Instytutu, ale nie do Rzewskiego, tylko do laboratorium. Telefon odebrała Ninka.

— Powiedz Rzewskiemu, że ze mną jest wszystko w porządku. Zażywam świeżego powietrza.

Było już ciemno, dziewiąta wieczorem, więc nic dziwnego, że głos Ninki ociekał łzami — Iwan wyobraził sobie, jaka panika panuje w Instytucie.

— Nikomu nic nie powiedziałaś...

— Miałem do załatwienia parę spraw, dziecko. Mężczyźni zawsze mają do załatwienia jakieś sprawy. Przyjdę jutro i wszystko opowiem.

Odwiesił słuchawkę i poszedł na postój taksówek.

Katia była w domu.

Mieszkała w kawalerce, w nowym czteropiętrowym bloku nad rzeką.

— Od razu pana poznałam — powiedziała. — Jak tylko pan tu wszedł.

Mówiła wolno, przytłumionym głosem, miała długi warkocz — kto dzisiaj jeszcze nosi warkocz? — przerzucony na pierś.

— Chodźmy do kuchni — zaproponowała — bo obudzimy moją Lizę.

Postawiła czajnik na gazie. Iwan poczuł, że jest w domu, i z niecierpliwością czekał na mocną, wonną herbatę. Liza też potrafiła parzyć dobrą herbatę.

— A gdzie jest pani mąż? — zapytał. To pytanie nie wydało mu się krepujące, był przecież w domu.

— Nie mam męża — odparła Katia — rzuciłam go. Pije. To dobry, zdolny inżynier, ale pijak. Kiedyś chciał mnie stłuc, a mnie bić nie wolno, prawda?... Przyjechał pan tu prosto z Moskwy?

— Z Moskwy.

— Ojciec pana przysłał? Nazywałam go tatusiem Sieriożą. Był dla mnie bardzo dobry, zawsze przynosił cukierki. Nie ma pan pojęcia, jak z początku za nim płakałam.

— Nie, on mnie tu nie przysyłał. Ja sam.

— Gdzie się pan zatrzymał?

— Później poszukam sobie jakiegoś hotelu.

— Marzenie ściętej głowy — powiedziała Katia. — U mnie pan przenocuje. Pościelę na połówce, nie obrazi się pan?

— Dziękuję — powiedział Iwan. — Jestem potwornie zmęczony.

— Widzę, okropnie pan błady. Zaraz napijemy się herbaty, to panu ulży.

Mocna, pachnąca herbata rzeczywiście pomogła. Pomogło i to, że Iwan pił ją z Katią, którą znał od stu lat.

— A co — zapytała Katia — ojciec nadal się martwi?

— Uważa, że pani matka umarła z jego winy.

— To straszne! Gdybym wiedziała, napisałabym, jak to się stało. Mama zupełnie się na niego nie gniewała, naprawdę. Dokładnie to pamiętam, bo ona rozmawiała ze mną jak z dorosłą. Pamiętam wszystko, bo mieszkaliśmy ze sobą przez cały rok... U mojej cioci. Ciocia też była bardzo dobra, serdeczna, ale bez przesady. Wiodło nam się całkiem nieźle — mama pracowała, ciocia też, a ja chodziłam do przedszkola. Pewnie, że mama tęskniła za tatusiem Sieriożą, bardzo tęskniła... Pisała do niego listy, chyba ze sto. Mam je do dzisiaj, mogę pokazać. Zastanawiałam się nawet, kiedy byłam już większa, czyby ich nie wysłać. Ale nie wysłałam. Człowiek zapomniał o wszystkim, to po co mu rozdrapywać rany. Przecież ożenił się, miał pana... Nie powinien dostawać takich listów, bo... pańska mama mogła się niepotrzebnie zdenerwować.

— Sergiusz Andriejewicz nie ożenił się.

— A w jaki sposób...

— Katiu, będę musiał pani opowiedzieć wszystko po kolei. Ale najpierw niech pani mi coś opowie.

— Dobrze — zgodziła się Katia. — A co mam opowiedzieć?

— Dlaczego pani mama... umarła?

— To był wypadek. Przechodziła ulicę i wpadła pod ciężarówkę. Kierowca był pijany, jechał za szybko, no i...

— A mnie powiedziano, że rzuciła się pod pociąg... Ojciec też tak myśli. Szukał pani...

— Widać nie bardzo się starał. Pan mnie przecież znalazł... Przepraszam. Mama przez cały ten rok czekała. Zresztą Wiktor Siemionowicz znał adres, pisał do mamy, a potem moja ciocia opisała mu wypadek mamy. Chyba zna pan Wiktora Siemionowicza? To przecież najbliższy przyjaciel pańskiego ojca.

— Listy Wiktora Siemionowicza też się zachowały?

— Były tylko dwa. Jeden króciutki, a drugi bardzo obszerny... Napisał w nim mamie, że ją kocha i chce się z nią ożenić, ale mama odmówiła mu bardzo zdecydowanie, nawet ostro. Zrozumiał... Mama tatusia Sieriożę bardzo kochała.

I nagle Katia rozplakała się. Z szarych oczu na matowe policzki popłynęły łzy. Zlizła je językiem, poderwała się i pobiegła do łazienki. Wróciła dopiero po dłuższej chwili, niosąc w rękach szkatułkę.

W szkatułce były widokówki z życzeniami świątecznymi, jakieś legitymacje, kwity i listy. Paczuska listów w białych nie zaadresowanych kopertach była przewiązana wstążeczką.

— To listy mamy do Sergiusza Andriejewicza — powiedziała Ka—tia. — Proszę nie myśleć, że robiła mu jakieś wyrzuty. Nic podobnego, to sobie miała za złe, że stała mu się zawadą.

Spod spodu Katia wyjęła jeszcze jeden list. Pismo na kopercie było znajome, nie zmienione od trzydziestu lat drobniutkie, kobiece pismo Wiktora.

„Droga Lizo!

Nie pozwalasz mi zobaczyć się z tobą. Trudno, ale to i tak niczego nie zmieni. Nie potrafię wyrzec się miłości do ciebie, którą dotąd ukrywałem, bo nie wypada przecież wyznawać uczucia kobiecie, z którą żyje najlepszy przyjaciel. Było to dla mnie w dwójnasób bolesne, gdyż widziałem, jak wasze, pożycie rozpada się i rozkłada. Przecież on cię nie kochał, czy ty tego nie widziałaś? Byłaś mu potrzebna jako kobieta i jako służąca. Nic więcej. Byłaś ślepa, ale teraz już chyba przejrzałaś? Starasz się go usprawiedliwić tą historią z aspiranturą, a ja przysięgam ci na zdrowie Kati, że on nie miał żadnych kłopotów w pracy, tylko po prostu wymyślił sobie pretekst, żeby się od», ciebie uwolnić. Nie powiedziałem ci jeszcze jednego: od paru miesięcy Sierioża romansował z Elzą...”

— Wiesz — powiedział Iwan, starannie składając nie doczytany list Wiktora — że on w pół roku później ożenił się z Elzą?

— On od początku chciał, żeby mama odeszła od tatusia Sierioży?

— Gdyby nie on, wszystko by się z czasem jakoś ułożyło.

— Nie — powiedziała Katia. — Nie żyliby ze sobą. Sergiusz Andriejewicz kochał mamę, ale nie tak mocno, jak trzeba. Swoją pracę kochał bardziej, a mama to rozumiała. Dlatego nie gniewała się na niego i zawsze wspominała z ogromną wdzięcznością jego dobroć.

Katia pościeliła Iwanowi łóżko polowe. Długo nie mógł zasnąć, a Katia zasnęła od razu i w ciszy mieszkania słychać było jej równy oddech. Potem poruszyła się we śnie, zakaprysiła malutka Liza. Iwan pomyślał, że rano ją zobaczy.

I zaraz potem zaczęło go potwornie trząść. Starał się opanować dygot i szcęknięcie zębów, żeby Katia się nie obudziła, ale potem musiał stracić przytomność i jego jęki zaalarmowały gospodynię. Zaczął Sredzić w gorączce, Katia przerażona wybiegła na ulicę i z automatu wezwała pogotowie, które zabrało Iwana do szpitala.

Kiedy Iwan oprzytomniał, zobaczył bardzo blisko siebie szare oczy Kati. Wyciągnął nieposłuszną rękę i dotknął koniuszka warkocza.

— Dzień dobry — powiedział. — Dziękuję.

— Za co?

Chciał jej wytłumaczyć, ale język odmawiał mu posłuszeństwa. Nie zmartwiło go to jednak, bo wiedział, że wszystko powie jej później. Teraz trzeba spróbować powiedzieć tylko jedno... Poprosił Katię, żeby natychmiast zadzwoniła do Moskwy, do Rzewskiego.

Jeszcze tego samego dnia przyleciał Sergiusz Andriejewicz i profesor Wołodin. Kiedy Rzewski wszedł na salę szpitalną, Iwan miał bardzo silną gorączkę, ale poznał ojca i powiedział:

— Poznajcie się.

— Sergiusz Andriejewicz — podał Kati rękę Rzewski.

Dziwne, że jej nie poznał, była przecież tak bardzo podobna do Lizy. Ale Rzewski w tym momencie myślał tylko o Iwanie. I nawet kiedy ona z kolei się przedstawiła, też nie od razu zorientował się w sytuacji.

— Katia Maksimowa — powtórzyła Katia. Dopiero teraz fragmenty mozaiki ułożyły się w całość.

— Katia — wyszeptał Rzewski.

— Listy — powiedział Iwan. — Nie zapomnij o listach do ojca. Potrzebuje ich, bo umarł nam pewien szympanś...

— Mam je przy sobie — odparła Katia. — Nie wiem dlaczego wzięłam je do szpitala...

O autorze

Kirył (lub Kir) Bułyczow to pseudonim literacki jednego z najbardziej znanych autorów radzieckiej science fiction. Z zawodu Bułyczow jest historykiem, wykłada w Instytucie Orientalistyki Akademii Nauk ZSRR i regularnie publikuje książki z zakresu swej specjalności. Pisuje także scenariusze do filmów dla dzieci. W roku 1982 otrzymał nagrodę państwową (tzw. październikową) za scenariusze filmowe. Stworzył własny, bardzo rosyjski styl, łączący realistyczną obserwację z humorem i dobrotliwą satyrą. Pisuje również utwory zaliczane do fantastyki „czystej”. Wszystkie one mają akcję umiejscowioną w wymyślonym przez Bułyczowa mieście Wielki Guslar, będącym zresztą nieco karykaturalną kopią realnie istniejącego miasteczka Wielikij Ustiug; nawet nazwiska bohaterów zostały zaczerpnięte z książki adresowej tego miasta z 1907 roku. W polskich przekładach ukazały się dotychczas: *Ludzie jak ludzie*, (Iskry 1976), *Rycerze na rozdrożach* (Czytelnik 1979), *Retrogenetyka* (Iskry 1983), *Miasto na Górze* (Iskry 1983), *Było to za sto lat* (Nasza Księgarnia 1983).